

JULIUSZ DOMAŃSKI
(Warszawa)

NA STUDIACH: 1947–1951

Egzamin maturalny przypadł mi na początku lipca. Odbywając go wakacje spędziłem, jak i poprzednie, w rodzinnym domu w Suchym Lipiu na intensywnej pracy przy żniwach. Już pod koniec sierpnia pojechałem do Warszawy, żeby złożyć dokumenty na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Warszawskiego i przystąpić do egzaminu wstępnego na studia. Był to pierwszy po wojnie egzamin wstępny na państwowym uniwersytecie; poprzednie roczniki bowiem przyjmowano na podstawie samych tylko świadectw maturalnych. Dokumenty składałem razem z moim najstarszym bratem Franciszkiem, starszym ode mnie o lat dwadzieścia jeden; chciał on wznowić i doprowadzić do końca zaczęte przed wojną studia psychologii wychowawczej. Teraz był dla mnie, przybyłego z małego miasteczka, cennym przewodnikiem po dość zawiłych drogach uniwersyteckich, miał też być – przynajmniej na początku – tym, który pomoże mi się w Warszawie zainstalować i jakoś urządzić. Po prawdzie to za jego zachętą na studia udałem się aż do odległej od mego domu o 250 kilometrów Warszawy, choć bliżej znacznie miałem w Lublinie Katolicki Uniwersytet Lubelski z tym samym co w Warszawie studium filologii klasycznej. Jak się to zainstalowanie odbyło i jak się udało, opowiem później. Teraz krótka opowieść o przygodach związanych z egzaminem wstępnym i o tym, jak się czułem w wielkiej, choć bardzo przecie zdewastowanej i bardzo ubogiej Warszawie.

Egzamin wstępny składał się z części pisemnej i części ustnej. Pierwsza była jakby powtórzeniem wypracowania maturalnego: trzeba było w określonym czasie napisać esej na zadany temat historyczny i zarazem literacki. Nie mogę sobie przypomnieć, jaki to był temat, pamiętam natomiast dokładnie, że nie miałem z nim żadnego kłopotu i oddaniu gotowej pracy towarzyszyło moje poczucie, że jest dobra. Tak też chyba i było. Wnioskuje to po wyniku egzaminu ustnego. Był z „wiedzy o Polsce i świecie współczesnym”. Egzaminator zapytał mnie o losy wojska polskiego po kampanii wrześniowej, co mnie od razu nastroiło optymistycznie, bom przecie żył tym kilka lat wcześniej intensywnie i zdawało mi się, że wiedza moja na ten temat jest znaczna i rzetelna. Nie przewidziałem, że miała być jeszcze poprawna politycznie, zwłaszcza że w mojej szkole w Krasnymstawie takiej poprawności politycznej nigdy ode mnie nie żądano. Zacząłem więc od stwierdzenia, że po klęsce wrześniowej część żołnierzy przez Rumunię udała się do Francji, część się rozbroiła i powróciła do cywila. Zanim zacząłem dalszą opowieść o aktywnościach jednej i drugiej, egzaminator przerwał mi dość agresywnym, złośliwym w tonie

pytaniem, czy nie było obozów jenieckich. Odpowiedziałem, że były jak zawsze w każdej wojnie, ale z egzaminem już było niedobrze. Ja, podświadomie niejako, od sprawy obozów jenieckich uciekałem, żeby się nie uwikłać w losy tych, którzy trafili do niewoli sowieckiej, egzaminator wiedział już, że moja świadomość historyczna jest AK-owska. Jakoś dokończyłem dyskursu i w dość ponurym nastroju czekałem na werdykt, zwłaszcza że słuchając rozmów współ-zdających widziałem, jak znakomicie orientują się w bieżących kwestiach i jak sprawnym posługują się językiem, a był wśród nich zdający na socjologię Stanisław Manturzewski, sławny kilka lat potem z reportażu o chuliganach-bikiniarzach-fikusach. Oznajmiono mi wynik pozytywny, ale z kąśliwą uwagą co do jakości mojej wypowiedzi i bodaj też z informacją, że przyjęcie zawdzięczam tylko bardzo dobrej pracy pisemnej. Tak to na samym wstępie zetknąłem się z atmosferą nowego ustroju, której w szkole średniej nie zaznałem i przeto nie nawykłem myśleć wedle wymaganego przez nową rzeczywistość polityczną sposobu. Egzaminatora mojego, którego nazwiska nie pamiętam, widywałem potem wielokrotnie na terenie Uniwersytetu Warszawskiego, bo był nauczycielem akademickim, ale się nim nie interesowałem; nawet chyba nie starałem się dowiedzieć jego nazwiska i specjalności naukowej. Wolałem uciec pamięcią od tamtego incydentu, bo przyszło mi na szczęście odbywać studia w środowisku, gdzie owej politrukowskiej atmosfery egzaminu wstępnego nie było nawet nikłego śladu. Do tego środowiska zaraz wróć, tymczasem dwa słowa o trudach mojej adaptacji do życia w wielkim mieście.

Miał mi je ułatwić – łącznie z zapewnieniem jakiegoś zarobku – mój najstarszy brat i starał się rzeczywiście to uczynić, jak umiał. Rzecz jednak nie była łatwa z powodów obiektywnych i subiektywnych zarazem. Zamieszkać u niego nie mogłem, bo się gnieździł z żoną i dwoma nieletnimi synami w mizernej zaiste powierzchni pokoju z kuchnią, więc sprawę mieszkania trzeba było załatwić eksternistycznie, co też i uczynił znajdując mi przez znajomych ką sublokatorski na ulicy Kruczej. Obmyślona dla mnie praca sekretarza w kierowanej przez niego szkole na ulicy Miedzianej nie była zbyt czasochłonna, ale jakoś trudno mi było wyrzeszać w sobie do niej tyle entuzjazmu i gotowości, ile się po mnie brat mój spodziewał, że zaś miał mnie apriorycznie za oferme i próżniaka, nie sprzyjało to zgodnej współpracy i, jak to bywa w rodzinach, powodowało różne napięcia i frustracje. Wyrwałem tam dwa czy trzy miesiące i na szczęście znalazło się dla mnie coś na uniwersytecie, co się znacznie lepiej godziło z moimi obowiązkami studenckimi. One zaś pochłoneły mnie całkowicie i pomogły mi się rychło zaaklimatyzować w obcej mi, dotąd człowiekowi wsi i bardzo wiejskiego powiatowego miasteczka, w pełnej zniszczeń wojennych i biedy, ale przecież mimo to wielkomiejskiej stolicy.

Z uniwersytem samym też musiałem się, rzecz jasna, przez czas jakiś oswajać, bo był to przecie świat inny niż szkoła w Krasnymstawie. Pamiętam dobrze, jak mi czasem utrudniała życie prowincjonalna nieśmiałość. Z jej czy z innego może powodu jakoś tak się stało, że nie rozpocząłem zajęć punktualnie, że pierwsze jakieś, wstępne spotkanie czy ćwiczenia dla pierwszego roku opuściłem i wiedząc o tym przyszedłem przed drzwi II Seminarium Filologii Klasycznej, gdzie właśnie wczytywałem się w wywieszone tam informacje o zajęciach i o prowadzących je

osobach, kiedy z owych drzwi wyszła starsza pani, ułomna i z laską, o twarzy poważnej, a nawet surowej, ja zaś, informując ją (najpewniej zresztą zapytany), że jestem przyjęty na pierwszy rok studiów, jednym tchem spytałem, czy to ona jest panią doktor Lidią Winniczuk, do której właśnie przyszedłem, aby się na jej zajęcia zgłosić. Zagadnięta pani dość gniewnie (co mnie niepomrotnie zdziwiło) zaprzeczyła zawartej w moim pytaniu fałszywej sugestii personalnej i równie gniewnie upomniała mnie, że zajęcia się już zaczęły i że bardzo źle robię, z włączeniem się w nie marudząc. Była to, o czym się rychło dowiedziałem przyszedłszy na prowadzony przez nią w I Seminarium Filologii Klasycznej lektorat grecki, pani doktor Maria Maykowska. Tymczasem zaś dotarłem do pani doktor Lidii Winniczuk, osoby sporo młodszej, o miłej raczej powierzchowności, która też i przyjęła mnie życzliwie, połajanek żadnych nie udzieliła, udzieliła natomiast sympatycznie potrzebnych mi informacji. Na samym wstępie więc tak się już stało, że w owym drugim seminarium poczułem się bardziej bezpieczny niż w pierwszym, i tak już miało zostać, choć powody takiej opcji były zrazu całkowicie irracjonalne. Czas miał też zweryfikować pierwsze wrażenie dotyczące obu pań, jednakowo dla początkującego studenta ważnych, ale adherentem II Seminarium pozostałem do końca.

Obie panie były siłami naukowo-dydaktycznymi pomocniczymi, Maria Maykowska adiunktem, Lidia Winniczuk starszym asystentem. Szefem pierwszej i kierownikiem I Seminarium był profesor Adam Krokiewicz, szefem drugiej i kierownikiem II Seminarium profesor Kazimierz Kumaniecki. Między nimi też była duża różnica wieku: Krokiewicz, piętnaście lat starszy, zbliżał się wtedy do sześćdziesiątki, Kumaniecki miał lat zaledwie czterdzieści dwa. Zdaje mi się, że znając już nazwiska obu z wykazu zajęć, pierwszego zobaczyłem na prowadzących do seminarium schodach Kumanieckiego, domyślając się tylko, kto to, i domysł potwierdzając rychło na jego wykładzie; zaraz potem poznałem i Krokiewicza, również poszedłszy na jego wykład. Tak oto w pierwszych zaraz dniach poznałem prawie jednocześnie cały czteroosobowy personel nauczycielski warszawskiego studium filologii klasycznej.

Od tego szczupłego personelu nauczającego niewiele liczniejsi byli studenci. Na pierwszy rok przyjęto nas czworo, z tego po roku zostało tylko dwoje, ale na roku drugim dołączyło do naszego rocznika dwu kolegów spoza Uniwersytetu Warszawskiego, tak że ostatecznie czworo nas w jednym mniej więcej czasie doszło też do końca czteroletnich studiów. O dziwo, wszyscy czworo pozostaliśmy mniej lub bardziej blisko tych studiów także w życiu zawodowym. Koleżanką, którą przyjęto w roku 1947 razem ze mną, była Wanda Popiakówna, nazwisk efemerycznych jednorocznych kolegów zapomniałem, ci zaś koledzy, którzy zasilili warszawski rocznik 1947, to byli Władysław Seńko z KUL i Zdzisław Piszczek z UAM. Pierwszy jest znakomitym historykiem filozofii średniowiecznej, dziś emerytowanym profesorem Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, drugi nietuzinkowym zgoła bibliotekarzem, który, zrobiwszy w trakcie pracy zawodowej doktorat z filologii klasycznej, myślał był kiedyś o naukowej pracy językoznawczej, z powodu jednak niepomyślnego zbiegu okoliczności zewnętrznych musiał jej zaniechać, stał się bibliotekarzem pracującym w warszawskiej Bibliotece Uniwersyteckiej, a zarazem wyspecjalizował się w starożytniczej bibliografii, którą po dziś dzień uprawia, teraz już jako wieloletni biblio-

tekarz-emeryt. Również Wanda Popiakówna zrobiła karierę naukową jako profesor pedagogiki, do przejścia na emeryturę wykładając między innymi dydaktykę filologii klasycznej i jej historię. Nie było, rzecz jasna, i być nie mogło regułą, żeby cały prawie rocznik pozostał przy zdobytej profesji i jeszcze w większości zrobił w niej lub w bliskich jej dziedzinach naukową karierę akademicką. Tu trzeba koniecznie dodać od razu, że podział na lata studiów był zgoła nierygorystyczny i w dużej mierze umowy, do czego jeszcze wrócę, a globalna liczba aktualnych studentów filologii klasycznej w Uniwersytecie Warszawskim nie była chyba w tamtych latach nigdy większa niż trzydzieści osób, i to mimo że obejmowała wielu wskutek wojny zapóźnionych, którzy, pracując już zawodowo na utrzymanie własne i swoich rodzin, powolnie kończyli studia rozpoczęte przed wojną.

Ten mały światek był niezwykle sympatyczny i jakimś cudem długo pozostał poza działaniem wszelkich presji ideologicznych, jakie nowy ustrój stopniowo zaczął wywierać i na studentów, i na profesurę, i na samą treść oraz tok studiów. Na innych kierunkach studiów zaś wcale nie było tak sielankowo. Wystarczy poczytać relacje z przygód profesorów i studentów filozofii na Uniwersytecie Warszawskim, w szczególności z przygody profesora Władysława Tatarkiewicza. Inna sprawa, że w roku, kiedy rozpocząłem studia, spokojnie i cicho było jeszcze na całym Wydziale Humanistycznym, ale rychło potem na innych kierunkach studiów zaczęły się takie czy inne naciski, nakazy, szykany, na filologii klasycznej natomiast przyszły relatywnie późno. Myślę, że fakt, iż do końca moich studiów wszystko szło tam przedwojennym trybem i nowa rzeczywistość, przynajmniej nam, studentom, nie dawała zbyt natrętnie znać o sobie, był skutkiem traktowania przez władze oświatowe tego studium – a także kilku innych, jak egiptologia czy hetytologia, a nawet i, bardzo wtedy nielicznie studentami obsadzone, studia orientalistyczne – jako małych i mało ważnych środowisk trochę dziwacznych, egzotycznych, ze współczesnością właściwie niestycznych. Po dwu, trzech latach sytuacja zaczęła się i w nich zmieniać, ale do końca moich studiów, czyli do końca roku 1951, zmieniło się w istocie niewiele. Dopiero chyba w roku 1951 albo może później jeszcze pojawili się i na filologii klasycznej studenci należący do ZMP. Pamiętam taką bojową dziewczuchę w czerwonym krawacie o nazwisku Rzepa, ale imienia jej zapomniałem. Będę jeszcze do tych spraw sporadycznie wracać, teraz jednak pilno mi do relacji o studiach samych, przecież nie tak bardzo innych niż dzisiejsze w samej swej istocie, a jednak pod pewnymi względami z dzisiejszymi, w detalach zwłaszcza, nieporównywalnych.

Było nas studentów, jak już wspominałem, na nich niewielu, a i personel nauczający był, w ścisłym sensie, tylko czteroosobowy. Zajęć było sporo, pozostawało jednak dużo czasu na lektury i wszelką pracę samodzielną. Próbuję odtworzyć w pamięci przede wszystkim zajęcia specjalnie przeznaczone dla pierwszego roku.

Najintensywniejszy był niewątpliwie lektorat grecki, prowadzony przez panią Marię Maykowską. Nie ręcę za dokładność, ale jestem prawie pewny, że było to, jeśli nie sześć, to cztery godziny tygodniowo. Za podręcznik służyła *Wstępna nauka języka greckiego* Mariana Goliasa z łatwymi, na początku zwłaszcza, tekstami *ad hoc* przez autora spreparowanymi, w miarę postępów zaś wypełniona również uproszczonymi nieco przez autora tekstami autentycznymi, z dużą liczbą ilustracji

i całkiem sporą wierszy autentycznych, tych już naturalnie nieupraszczanych. Na pewno zrazu własnego podręcznika nie miałem, bo pamiętam, jak poszukiwałem go daremnie aż w Lublinie przez pośrednictwo studiujących tam kolegów z mojej klasy maturalnej, i kupiłem go dopiero po pewnym czasie w Warszawie. Toteż od pierwszej chwili trzeba było pilnie notować wszystko i nawet pracowicie przepisywać teksty czytanek. Dość długo greka szła mi ciężko, nie z winy przecież prowadzącej lektorat, tylko z jakichś moich niedostatecznych predyspozycji. Dręczyło mnie to niemało, zwłaszcza że w grupie była jedna bardzo zdolna i bardzo pilna outsiderka, studentka medycyny i zarazem filozofii, dla filozofii właśnie ucząca się pilnie greki. Pamiętam dobrze, że ujarzmiłem grekę dopiero wiosną, na przełomie drugiego i trzeciego trymestru, kiedy to pojechałem na Wielkanoc do Lipia i tam, w opuszczonym kurniku, bo na dworze było zbyt chłodno, żeby siedzieć nad książką i notatkami, poczułem, że nadszedł moment przełomowy i nie greka nade mną, ale ja nad nią wreszcie zapanowałem. Do tej pory chętnie opowiadam studentom, jak greki nauczyłem się naprawdę właśnie w starym kurniku. Przed końcem zajęć, które wtedy trwały co najmniej do połowy, a bodaj i do końca czerwca, zrobiliśmy cały podręcznik i przez parę tygodni jeszcze czytaliśmy łatwy tekst oryginalny. Były to pierwsze stronicie Ksenofontowej *Anabasis*. Lektorat na tym się nie kończył, bo na drugim roku trzeba było obowiązkowo zaliczyć jeszcze lektorat grecki wyższy, na którym – bodaj że po wstępnej lekturze jeszcze chyba początku *Cyropedii* Ksenofonta – czytaliśmy z panią doktor Maykowską *Charmidesa* Platona. To już była sama przyjemność, tym większa, że w czasie wakacji letnich udało mi się przeczytać w Lipiu dwa dialogi Platona, przewidziane na drugim roku jako przedmiot kolokwium. Praca to była niemała, jakże jednak wspaniała, jakich dostarczająca przeżyć! Nigdy już potem nic nie było dla mnie tak niezwykle jak te teksty zdobywane z trudem za pomocą słownika (Węclewskiego, bo był mały, jednotomowy) i gramatyki, a także i niemieckiego przekładu Appelta (o Witwickiego w seminaryjnej bibliotece było trudno, zbyt wielu był potrzebny). Dowiadywałem się najpierw, jak się bronił przed sądem ateńskim Sokrates, a potem, jak rozmawiał z uczniami o pośmiertnych losach duszy. Bo wziąłem sobie na lekturę *Apologię Sokratesa* i *Fedona*. I był to mój z Platonem kontakt pierwszy. Przedtem ledwie mi się zdarzyło gdzieś jeden czy drugi przekład Witwickiego obejrzeć w wydaniu Sympozjonu, ale nie przeczytać. W Krasnymstawie nie było książek, w Warszawie czasu. Dzięki temu mogę dziś opowiadać rzecz niewiarygodną, ale prawdziwą: że najpierw czytałem Platona po grecku. Żeby już nie wracać do mojej wstępnej edukacji greckiej, dodam to jeszcze, że na owym pierwszorocznym lektoracie była nie tylko wspomniana ekscentryczna wielce studentka medycyny i filozofii, ale cała kilkusobowa grupa studentów teologii protestanckiej, w tym jedna dziewczyna, a nadto trzech lub czterech Czechów spod Cieszyna i jeden z późniejszych pastorów kalwińskich Trandów, prawie na pewno starszy, czyli późniejszy biskup.

Łacina była domeną pani doktor Lidii Winniczuk. Chodziłem do niej na pierwszym roku na tak zwany wyższy lektorat łaciński i na proseminarium łacińskie. Na tym proseminarium czytaliśmy Tibullusa, którego fragment pierwszej elegii z księgi pierwszej znałem już z drugiej chyba klasy liceum, ale tu lektura była

rozleglejsza i z instruktywnym komentarzem odnoszącym się do cech charakterystycznych erotycznej elegii łacińskiej. Lekturą na owym wyższym lektoracie była czwarta werrynka Cyclerona *De signis*, czyli o tym, jak Werres łupił na Sycylii cenne rzeźby. To były bardzo kształtujące językowo, bardzo też dobrze orientujące w realiach starożytnych, w miłej atmosferze prowadzone zajęcia. Brylował na nich niejaki ksiądz Łukaszczyk, sporo starszy od nas wikary z jakiejś wiejskiej i dość dalekiej od Warszawy parafii, świetnie obkuty w łacinie, ale i mnie samemu źle nie szło, a nawet usłyszałem od Lidii Winniczuk, że dobrze mnie w szkole uczono łaciny. Ona sama była w tym nauczaniu godną uczennicą legendarnego już wtedy, choć ledwie rok wcześniej zmarłego Gustawa Przychockiego, znakomitego łacynisty, znawcy właśnie elegii, ale bardziej jeszcze komedii rzymskiej, z której w następnym roku wybrała na taki lektorat czy może na proseminarium którąś ze sztuk Plauta. Szkoda, że uznałem, iż nie mam już czasu na udział w tej lekturze. Inna sprawa, że chyba rzeczywiście (subiektywnie) go nie miałem. Dlaczego, o tym opowiem potem, jak i o samej prowadzącej zajęcia. Teraz zaś dodam tylko, że to chyba na tym swoim proseminarium Lidia Winniczuk zadała mi do opracowania świetny temat: Homer u Owidiusza, czyli co i jak Owidiusz przygodnie pisze o Homerze. Dla początkującego studenta było to doskonałe ćwiczenie praktyczne nie tylko w lekturze i analizie ubocznych i niejako przygodnych wypowiedzi poetyckich, ale przedtem jeszcze w korzystaniu z pomieszczonych w wydaniach indeksów. Robocze ćwiczenie pokazało, że całkiem to był ciekawy temat i całkiem dobrze mi poszło jego opracowanie i zreferowanie.

Oprócz tych zajęć typu raczej ćwiczeniowego uczestniczyłem też pierwszego roku studiów w wykładach obu profesorów. Do Kumanieckiego chodziłem na aż trzy wykłady i na dwa, a może na pierwszym roku tylko na jeden, do Krokiewicza.

Wykłady profesora Kumanieckiego nosiły tytuły „Kultura starożytna”, „Cyceron”, „Pieśni Horacego”. Pamiętam dość dokładnie moje reakcje na każdy z tych wykładów. Na pierwszym dowiedziałem się i zapamiętałem na zawsze, choć nie była to przecie najważniejsza rzecz w tym wykładzie, że Grecja starożytna miała klimat zbliżony do klimatu dzisiejszej Grecji i że była uboga w wodę. Na drugim, który był dalszym ciągiem wykładu z ubiegłego roku, uderzyło mnie, że profesor odtwarza dzień po dniu zajęcia Cyclerona: nie wyobrażałem sobie przedtem, żeby rzecz taka w ogóle była możliwa. Oba wykłady to były pierwsze, robocze wersje dwu książek wydanych po paru latach: *Historia kultury starożytnej Grecji i Rzymu* z roku 1955 i *Cyceron i jego współcześni* z roku 1959. Profesor miał przed oczyma maszynopis, który przynosił złożony w wewnętrznej kieszeni marynarki, niekoniecznie go czytał, a jeśli czytał, to tak, że się miało wrażenie dyskursu mówionego. O wiele ciekawsza była jednak lektura pieśni Horacego. To też był dalszy ciąg wykładu z ubiegłego roku, może nawet z dwu lat, bo trafiłem na *Carm. III 27 (Impios parrae recinentis omen / ducat)* i dowiedziałem się oraz na całe życie zapamiętałem, że to jest i czym jest propemptyk, a także że dzięcioł ukazujący się z lewej strony był złą dla podróżnych wróżbą. Nie takie szczegóły, rzecz jasna, stanowiły atrakcję wykładu, lecz sposób, w jaki profesor czytał, *ex promptu* bardzo składnie i celnie, ale też bardzo prosto tekst przekładał i dość lakonicznie, bardzo jednak instruktywnie i tak, że wszystko

od razu było jasne, objaśniał go gramatycznie, metrycznie, stylistycznie i rzeczowo. Nie słyszałem od nikogo tak znakomitych wykładów, od tego samego zaś profesora wysłuchałem najpierw w tym samym roku i w tym samym trybie jeszcze kilku satyr Horacego (chyba z pierwszej tylko księgi), a potem, w następnych latach, także prawie całego Katulla i chyba całej pierwszej księgi epigramatów Marcialisa (ale z jednego i drugiego sprostności profesor opuszczał kwitując zawsze rzecz stwierdzeniem: „to się nie nadaje do wspólnego czytania”). Sam wiele lat potem próbowałem iść w ślady mistrza, choć jednak bardzo się starałem, nigdy mi to, mam wrażenie, nie wychodziło tak jak jemu, nigdy tak prosto i tak instruktywnie.

Wykład profesora Krokiewicza, którego słuchałem na pierwszym roku, dotyczył dwu greckich filozofów, Leukipposa i Demokryta. Profesor miał przed sobą zapisany ręcznie cienki raczej zeszyt i wykład czytał, bardzo starannie i powoli, a choć nie wydaje mi się, aby specjalnie starał się sprawić wrażenie, że to dyskurs mówiony, czytanie to nie było nigdy monotonne, zawsze z intonacją ujawniającą osobiste zaangażowanie i dyskretny, ale wyczuwalny i szczerzy entuzjazm. I te wykłady – następny zaś był o Sokratesie – potem były publikowane, w różnych nawet wersjach i różnych miejscach, od zeszytów „Meandra” po książki *Sokrates* i *Zarys filozofii greckiej*, którego, w zmienionej odpowiednio formie, stały się częściami. Nie mogę sobie natomiast przypomnieć, czy już na pierwszym roku słuchałem stylistyki łacińskiej, którą Krokiewicz potem opracował do druku wspólnie ze słuchającą jej wtedy razem z innymi moją parę lat starszą koleżanką Marią Pąckińską. Chyba słuchałem tego wykładu już na pierwszym roku – z niewielkim raczej pożytkiem, bo dotyczył subtelności, do których nie byłem dostatecznie przygotowany. Przede wszystkim jednak do wykładu o Leukipposie i Demokrycie musiałem na pierwszym roku dorosnąć. Rozumiejąc bowiem całkiem nieźle główny wątek, nie rozumiałem szczegółów, niektórych zresztą całkiem po prostu językowo. Oto na przykład profesor mówił stale o jakichś „ciałach fenomenalnych”. Już wtedy używano przymiotnika „fenomenalny” w potocznym znaczeniu ‘atrakcyjny’, ‘fajny’. Dziwnie mi się więc, by nie rzecz frywolnie, kojarzyło to wyrażenie „ciała fenomenalne”, dopóki na lektoracie greckim nie poznałem znaczenia greckiego czasownika φαίνω i jego imiesłowu mediopasywnego φαίνόμενος. Zresztą Krokiewicz w ogóle miał, przy ogromnej kulturze językowej i logicznej swoich bardzo starannie opracowanych wykładów, pewne językowe osobliwości, zwłaszcza terminologiczne. Tych ostatnich nie objaśniał, nawet jeżeli były słabo zleksykalizowane lub w ogóle niezleksykalizowane. Do takich należały terminy „byt ontyczny” i „byt gignetyczny”, celnie nazywające te podstawowe kategorie platońskiej metafizyki, ale bez objaśnienia zrozumiałe pod warunkiem oswojenia się z greką. Nasi profesorowie więcej niż takie oswojenie, bo biegłą znajomość greki, wynieśli byli ongiś z galicyjskiego gimnazjum klasycznego i nie zawsze mieli w pogotowiu praktyczną świadomość tego, że ich słuchacze takiego oswojenia ze swoich szkół średniej nie wynieśli, bo ich tam greki w ogóle nie uczono.

Takich szczegółów, najlepiej (choć nie bez luk i niepewności) zapamiętanych z pierwszego roku studiów, kiedy były atrakcyjną nowością, nie umiałbym już wydobyc z lat następnych, kiedy się stały rutyną i kiedy ich liczba stopniowo się zmniejsza-

szala zgodnie zarówno z programem studiów, jak i z narastaniem coraz bardziej pragmatycznej świadomości tego, co ważne, a co mniej ważne. Szkoda, że nie mam do pomocy mojego indeksu, oddanego – zgodnie z obowiązującym wtedy przepisem – do uniwersyteckiego archiwum, dziś teoretycznie możliwego do odzyskania stamtąd, praktycznie jednak nie wiem, czy umiałbym się zdobyć na molestowanie kogoś z administracji uniwersyteckiej, aby mi w archiwum wyszukał dokument sprzed więcej niż pół wieku. Muszę więc popełniać niedokładności i uogólnienia. Ocalałe w całym sporej ilości rozmaite notatki z czasu studiów może mi pomogą skorygować ten na razie z samej tylko pamięci wysnuwany zapis, nie liczę jednak na wiele, bo są fragmentaryczne i najczęściej niedatowane.

Zwiąawszy się z seminarium profesora Kumanieckiego, a rychło i osobiście z nim samym dzięki temu najpierw, że jego uwagę jako skierowała na mnie życzyliwa mi wielce na początku studiów Lidia Winniczuk, zacząłem się bardzo szybko cieszyć także jego różnymi propozycjami, tworzącymi mi pewne elementy czegoś, co się w wiele lat później (i, rzecz jasna, już nie dla mojego użytku) zinstytucjonalizowało jako indywidualny tok studiów. Nie pamiętam dokładnie czasu, ale chyba tak to było, że już pod koniec mojego pierwszego roku profesor zaprosił mnie na swoje seminarium łatinistyczne, na którym właśnie czytano Propercjusza. Zaprosił mnie mianowicie (z wyprzedzeniem, bo obowiązywało mnie takie seminarium dopiero na roku drugim) na trzeci trymestr mojego roku pierwszego jako tak zwanego hospitaanta, bez żadnych obowiązków, po to tylko, żebym mógł wcześniej przypatrzeć się i przysłuchać, jak się takie seminarium odbywa. Czytano właśnie elegię siódmą pierwszej księgi (*Dum tibi Cadmeae dicuntur, Pontice, Thebae*), ale przecież nie obyło się bez tego, żebym sobie nie przeczytał i poprzednich elegii i żeby mnie, pod koniec dwudziestego pierwszego roku życia, nie urzekła prostota i kunsztowność miłosnego zwierzenia zawartego w elegii pierwszej. Pamiętam jak dziś, jak odbierałem wtedy i niewiarygodną łatwość pierwszego dystychu, i trudność oraz pewną tajemniczość trzeciego wersu, owego *Tum mihi constantis deiecit lumina fastus*, i znowu łatwość zarówno towarzyszącego mu pentametru *Et caput impositis pressit Amor pedibus*, jak i dalszego ciągu *Donec me docuit castas odisse puellas / improbus et nullo vivere consilio*. Smak tych – i nie tylko tych – elementów kunsztownego języka erotyki starożytnej w takich latach życia był szczególny i nie powtórzył się już chyba nigdy potem. Ale wcześniej jeszcze, u samego początku, oczarowała mnie sztuka poetów augustowskich *en bloc*. Bo w bożonarodzeniowe ferie pierwszego roku studiów zdołałem uczytać sporo z obowiązkowej lektury sześciu pierwszych ksiąg Wergiliuszowej *Eneidy*; Tibullusa czytałem już od początku roku akademickiego na proseminarium łacińskim z Lidią Winniczuk, a i z Owidiusza, nie licząc fragmentów czytanych w szkole, przeczytałem sporo opracowując zadany mi przez nią temat, o czym wszystkim już wspomniałem przedtem. Tak to pierwszy semestr mojego pierwszego roku studiów był bardzo dla mojej edukacji łatinistycznej owocny. Zdaje się jednak, że nie wymieniłem jeszcze wszystkiego. Jeżeli pamięć nie pomyliła mi poszczególnych lat, była w tym czasie również samodzielna lektura dwu ksiąg Cyceronowych *Tuskulaneek*, a przybył jeszcze jeden sukces, tym razem neolatynistyczny.

Zdaje mi się bowiem, że to już wiosną 1948 roku profesor Kumaniecki postanowił nas w trybie zupełnie nadzwyczajnym nauczyć trochę humanistycznej paleografii łacińskiej, i to na autentyku. Trzymał bowiem wtedy w domu (dziś byłoby to na pewno niemożliwe) znaleziony przez siebie w składnicy ponemieckich książek w Kluczborku piętnastowieczny rękopis zawierający *Retorykę* osiadłego w Polsce włoskiego humanisty Filippa Buonaccorsiego, który się jeszcze przed przybyciem do Polski przezwiał Kallimachem. Idąc rano na zgodny z programem wykład i na swoje dodatkowo poza ogłoszonym rozkładem zajęć podjęte ćwiczenia paleograficzne, profesor Kumaniecki w wiosenne dni przynosił ze sobą to *cimelium*, aby, skończywszy programowe zajęcia, z zebraną grupką ciekawych poczytać piętnastowieczny rękopis. Przynosił go, dobrze to pamiętam, przyciśnięty łokciem do boku, bo teczki raczej nie używał (wspomniałem już zresztą o przynoszonych w wewnętrznej kieszeni marynarki kartkach kopii maszynopisu późniejszej książki *Cyceron i jego współcześni*), rzecz również trudno dziś wyobrażalna, choć zresztą miał blisko z ulicy Sewerynow, skąd przechodził na dziedziniec uniwersytecki boczną furtką od Oboźnej. Czytanie, rzecz jasna, odbywało się z autentyku: nikt wtedy jeszcze o kserokopiach nie słyszał, można było tylko zrobić fotografie, ale do czytania dla małej grupki nie warto było, bo i ta lektura nie trwała długo. Dla mnie związana była ona z przygodą specjalną, osobistą. Zapewne w innej niż czytane na tych ćwiczeniach paleograficznych partii tekstu Kallimachowej *Retoryki* było miejsce popsute, na którego poprawienie profesor nie miał pomysłu. Nie pamiętam zupełnie, czym zyskałem sobie jego przekonanie, że mam – jak mi to przy tej okazji oświadczył – „filologiczną smykałkę” i że teraz proponuje mi, żebym nad zepsutym miejscem w czasie wakacji pomyślał: może mi przyjdzie do głowy jakaś koniektura. I przyszła! Analizując odpisaną z rękopisu dłuższą partię tekstu stwierdziłem, że ze zdania wypadło orzeczenie i że to musiało być orzeczenie w poprzedniej partii tekstu w analogicznej funkcji użyte. Profesor koniekturę moją zaakceptował, do tekstu wydania, które przygotowywał, ją wprowadził, a w aparacie krytycznym odnotował, że jest moja. Do dziś zapamiętałem piękną, elegancką formułę tej notatki: „dicetque inseruit Domański seminarii mei sodalis”. Kiedy po półtora mniej więcej roku wyszła edycja Kallimachowej *Retoryki*, otrzymałem od profesora egzemplarz z dedykacją „na pamiątkę pierwszej koniektury” i z trochę admonicjnym wyrażoną już ustnie nadzieją, że nie ostatniej. Ale niestety *habent sua fata libelli*. Dziś nie mam tego egzemplarza: pożyczyłem go komuś lekkomyślnie, a kiedy się na podstawie tylko pamięci o niego upomniałem, osoba monitowana oświadczyła mi, że się mylę, że nigdy jej tego wydania nie pożyczałem. Może i tak było, może zostało w rękach kogo innego, o kim zapomniałem.

Z wyprzedzeniem też w stosunku do programowego harmonogramu uczestniczyłem na zaproszenie profesora Kumanieckiego w jego seminarium greckim już na drugim roku studiów (zamiast, jak normalnie, na trzecim). Tak wypadło to jego seminarium, wtedy właśnie, gdy zaczynałem rok drugi. Na następną okazję musiałbym czekać dwa lata, czyli uczestniczyć w seminarium greckim prowadzonym przez Kumanieckiego dopiero na moim roku czwartym, ostatnim roku moich studiów. Był bowiem praktykowany zwyczaj, że greckie i łacińskie seminaria profe-

sorowie prowadzili na przemian: jeżeli w danym roku Kumaniecki miał greckie, to Krokiewicz łańskie, a w następnym na odwrót itd. Przedmiotem były *Blagalnice* Ajschylosa, więc tekst jak na początkującego grezystę bardzo trudny. Grupa była niewielka, nie liczyła chyba dziesięciu osób, ale za to należała do niej kończąca już wtedy studia Anna Świderkówna, grezystka znakomita! Poprzeczkę więc brałem wysoką. Występów własnych na tym seminarium miałem dwa, dobrze to pamiętam, i chyba na pierwszy właśnie przypadła mi chóralna partia tekstu, bardzo trudna, jak wszystkie prawie chóry Ajschylosowe. Cóż to była za wspaniała gimnastyka, nie tylko językowa – i nie tylko w krytyce tekstu! Taki występ, do którego trzeba było przygotować, zwłaszcza jeśli to była partia chóru, analizę metryczną, no i, rzecz jasna, tekst poprawnie wyskandować, w każdej zaś partii omówić warianty tekstowe w przekazach rękopiśmiennych, uzasadnić przyjęte do tekstu lekcje, sporządzić własny precyzyjny przekład, wreszcie objaśnić wszelkie realia, a także i walory estetyczne, choć było to najwyżej kilkanaście wersów, kosztował co najmniej tydzień intensywnej pracy, nie pozostawiającej praktycznie już czasu na żadną inną. Jakże jednak kształcącej i jakże znakomicie zaprawiającej do zawodu filologa!

Tylko te dwa seminaaria – całoroczne grezystyczne i ułamkowe, przez jeden tylko trymestr dla mnie trwające latynistyczne – miałem z profesorem Kumanieckim. Świetnie jednak to drugie nadrobiłem rocznym seminarium neolatynistycznym z epigramatów humanisty Kallimacha na ostatnim roku studiów albo i po studiach, dokładnie tego nie pamiętam. Równoległe zaś na roku drugim miałem latynistyczne seminarium profesora Krokiewicza. Była to – rokrocznie niezmiennie – trzecia księga poematu Lukrecjusza. O ile Kumaniecki prawie każdego roku brał się do nowego autora, Krokiewicz trwał przy swoim ulubionym Lukrecjuszu i jeszcze do tego przy księdze trzeciej. Kiedy zaś obejmował seminarium greckie, przedmiotem jego w tamtych latach czynił Sekstusa Empiryka. Komentowane to było przez studentów jako dziwactwo, słusznie czy niesłusznie, to nieistotne. Miały bowiem te seminaaria swój własny styl i warte były tego, aby w nich uczestniczyć. Powiem o nich słów kilka w obrębie nieco szerszej charakterystyki tego profesora i moich z nim zupełnie innych niż z Kumanieckim relacji.

O tym, jak na pierwszym roku słuchałem jego wykładów i jakie to były wykłady, już wspominałem. Myślę, że przez ten pierwszy rok pozostałem dla profesora Krokiewicza studentem jeszcze anonimowym, w sensie: słabo rozeznany. Dopiero z rozpoczęciem drugiego roku studiów od uczestnictwa w seminarium z Lukrecjusza stawałem się mu z biegiem czasu znany lepiej. Choć nie potrafię tego dokładnie umiejscowić w czasie, wydaje mi się prawdopodobne, że to gdzieś na początku roku akademickiego 1948/9 dostałem od niego propozycję objęcia funkcji asystenta wolontariusza. Wtedy przypomniałem sobie, że już wcześniej o możliwości takiej funkcji dla mnie wspomniała mi pani Lidia Winniczuk. Ponieważ bardzo się już z II Seminarium oswoiłem, a w I Seminarium czułem się mniej swojsko, od razu profesorowi Krokiewiczowi za propozycję podziękowałem tłumacząc, że już dostałem taką w tamtym Seminarium, co, rzecz jasna, uznał za wiążące. Zostałem więc asystentem-wolontariuszem w II Seminarium Filologii Klasycznej. Po prawdzie trochę się od swego starszego wiekiem profesora trzymałem z daleka.

Budził respekt, to owszem, ale i trochę lęku. Nie pamiętam już dziś dokładnie, jak go charakteryzowali starsi koledzy, ale ogólnie niektórzy mieli do niego jakieś zastrzeżenia i nawet pretensje. Był to na pewno człowiek trudny, onieśmielający. Wołałem go czytać niż być z nim w bliższym kontakcie. Toteż i czytałem jego prace z filozofii starożytnej, właściwie z bezinteresownej ciekawości, bo zgoła nie myślałem wtedy, że się będę w jakiegokolwiek formie filozofią zajmować. Nie wiedziałem, jak bardzo będą mi pomocne w mojej znacznie późniejszej pracy, przede wszystkim dydaktycznej, ale naukowej także, a i wcześniej jeszcze redaktorskiej. Uciekając wtedy przed Krokiewiczem, potem stałem się jego najautentyczniejszym uczniem. Do niejednego dojrzewa się dopiero późno.

Dwa słowa o tym, czym był asystent wolontariusz, nazwa dziś chyba nikomu nic niemówiąca.

Była to funkcja dość niezwykła, wręcz osobliwa: byłem studentem drugiego roku, a najformalniej też pracownikiem uniwersyteckim z legitymacją służbową, uprawniającą do pięćdziesięcioprocentowej zniżki kolejowej (studencka dawała tylko 33%), do korzystania z uniwersyteckiej lecznicy pracowniczej, tyle tylko, że niedostającym pensji. Byłem czymś w rodzaju bezpłatnego praktykanta. Bezpłatnego, ale nie bez zajęcia. Stałem się nieformalnym bibliotekarzem, pomagającym pozyskiwać i katalogującym książki. Ta druga czynność zwłaszcza była ogromnie pożyteczna, kształcąca. Poznawałem fachową bibliografię, nazwiska wielkich filologów całego świata, tytuły ich prac. Były to przeważnie rzeczy stare, ale ogromny zasób danych podstawowych, kanonicznych niejako, zostawał w pamięci umożliwiając jakże przydatną orientację. To była korzyść największa, pozyskiwana za cenę niezbyt wielu godzin wypisywania kartek katalogowych – najpierw ręcznie, potem na bardzo starej, staroświeckiej i ogromnej maszynie do pisania (Remingtona?), a wreszcie, kiedy się Seminarium dorobiło Eriki-portabla, to i na niej. Przy okazji więc nauczyłem się też pisać na maszynie, a to nie była wtedy umiejętność zbyt częsta. Wypisane najpierw przez Marię Cytowską, potem przeze mnie kartki biblioteczne trwały w katalogu długie lata. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych znajdowałem je w Instytucie Filologii Klasycznej UW – te pisane na maszynie i te wcześniej pisane moją ręką. Kiedyś, o dziwo, w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, czytając w bibliotece Instytutu Badań Literackich PAN (*Korbutianum*) *Geschichte der lateinischen Literatur des Mittelalters* Maxa Manitiusa, trafiłem na taką odręcznie przeze mnie wypisaną kartkę, która najwidoczniej posłużyła przedtem komuś z filologii klasycznej za zakładkę.

Była z tej bibliotekarskiej funkcji inna także korzyść: jako pomocnik Lidii Winniczuk jeździłem z nią do różnych miast po książki, których zgromadzone zaraz po wojnie w wielkim nieładzie i byle gdzie stopy trzeba było przeglądać i wybierać z nich to, co biblioteczne seminaryjne przydatne. Tak się wtedy w dużej mierze ta biblioteka tworzyła. Ja zaś dzięki tej robocie zwiedziłem kolejno Kraków, Katowice wraz z innymi pobliskimi miastami śląskiej aglomeracji, Wrocław, Szczecin i – już mi zresztą znany nieźle – Lublin. Warto może opowiedzieć dwie z tym związane przygody.

Obie miały miejsce w Katowicach w hotelu nauczycielskim. Pierwsza zaraz po przybyciu tam w recepcji, gdy na pytanie, czy chcemy pokój razem, czy osobno,

czterdziestoczteroletnia wykładowczyni i jej dwudziestojednoletni student jednym głosem wykrzyknęli:

– Osobno!

Druga przygoda zdarzyła się po noclegu rano przed wyjściem z hotelu. Każde z innego miejsca słyszeliśmy oboje dialog następujący:

– Panie kierowniku, panie kierowniku – wołała z górnego piętra wzburzona i zgorziona sprzątaczką – jaka wsza na poduszce! – na co zainteresowany kierownik, chyba zawodowy nauczyciel, odpowiedział z dołu bardzo spokojnie i flegmatycznie:

– Nie mówi się „wsza”, tylko „wesz”.

Drobna rzecz, a zapadła w pamięć jak najlepszy dowcip, bo też i była niezamierzonym dowcipem zgodnie ze słynnym określeniem Cycerona: *notissimum ridiculi genus, cum aliud expectamus, aliud dicitur* (Cic. *De or.* II 255).

Inne analogiczne wyprawy nie pozostawiły wspomnień tak dokładnych, jakieś przecież pozostawiły. Z pierwszego pobytu z tej samej okazji w Krakowie pamiętam nie tylko głębokie wrażenie, jakie zrobiła na mnie to stare i piękne miasto, i nie tylko to, że byłem tam w Teatrze Słowackiego po raz drugi na przedstawieniu *Wesela Wypiańskiego*, ale i taki niewiele znaczący drobiazg, że przy niektórych przejściach przez tory tramwajowe czytało się staroświeckie, dziwaczne trochę ostrzeżenie: „Uwaga, kolej elektryczna!”, które mnie śmieszyło. Pamiętam z tamtych czasów i to, że owa „kolej elektryczna” na niezwykle wąskich torach jeździła nie tylko po Rynku Głównym okrążając go i przejeżdżając przed Kościołem Mariackim, ale też jadąc dalej do Plant pod Bramą Floriańską. Do dziś sobie ten przejazd tramwaju pod czcigodną Bramą przypominam przechodząc tamtędy, a bywam w Krakowie często, o wiele częściej niż w jakimkolwiek poza Warszawą innym polskim mieście. We Wrocławiu zaś, nie licząc zwiedzenia Wystawy Ziem Zachodnich i spotkania tam mojej latynistki z Krasnegostawu, byłem po raz pierwszy w życiu w teatrze na operze, operą tą zaś była *Halka* Moniuszki. Tak to Lidia Winniczuk wprowadzała mnie jako swego pomocnika od ponemieckich książek nie tylko w tajniki fleksji i składni łacińskiej, ale i w czcigodne przybytki narodowej kultury. Z reszty tych wyjazdów nie pozostały mi wrażenia tego rodzaju, bo ich pewnie godnych pamięci nie było, jeśli nie liczyć tego, jakie zrobiło na mnie gwiazdziste usytuowanie ulic w Szczecinie. Za to wyjazd do znanego mi dobrze Lublina upamiętnił mi się innego rodzaju przygodą. Pojechaliśmy na KUL rewindykować z tego czcigodnego uniwersytetu pomyłkowo przyznany mu przez Ministerstwo Oświaty ponemiecki księgozbiór, bardziej, jak nietrudno zgadnąć, należny zburzonemu i spalonemu Uniwersytetowi Warszawskiemu, który wyspecjalizowane biblioteki zakładowe potracił doszczętnie. Był to księgozbiór należący, dziś już nie pamiętam, czy w całości, czy częściowo tylko, do niemieckiego profesora Johanna Strouxa i opieczętowany jego nazwiskiem. Na książkach znajdowały się już także pieczętki Seminarium Filologii Klasycznej KUL. Zabraliśmy bratniemu Seminarium KUL-u ten skarb bezlitośnie. Nemezis dziejowa wszelako przez jakiś czas się za to na II Seminarium warszawskim mściła. Kiedyś trzeba było zbiór ten, na wszelki wypadek wydzielony i traktowany jako specjalny, byle komu nieudostępniany, bo choć przekreślona, widniała przecie na nim pieczętka owego profesora Strouxa, schować głęboko,

albowiem przybył do Warszawy jego prawowity właściciel, osiadły gdzieś w strefie sowieckiej czy może już w utworzonym wtedy NRD, i *ex officio* miał odwiedzić w Seminarium profesora Kumanieckiego. Do wizyty jednak, o ile pamiętam, nie doszło, lecz doszło do niej dopiero później i chyba minęła bezkolizyjnie. Musiało to zresztą odbyć się już za czasów mojej tam wieloletniej nieobecności, bo słabo rzecz tę pamiętam, tak jakbym ją znał z zasłyszania tylko. Koniec tej przygody, w szczególnym, powojennym trybie zarazem legalnej i rabunkowej (w stosunku do niemieckiego prywatnego właściciela książek), był sielski: profesor Stroux po prostu przekazał ten swój księgozbiór II Seminarium Filologii Klasycznej UW.

Moja krótkotrwała studencka asystentura związała mnie w szczególny sposób współpracą, a i przyjaźnią, ze starszą moją wiekiem o lat aż jednaście, a stażem chyba co najmniej o cały czas studiów koleżanką, od kilku lat już nieżyjącą Katarzyną Augustyniak. Została w pewnym momencie moich studiów asystentką profesora Kumanieckiego i w tamtych latach pisała rozprawę doktorską z retoryki *De tribus quattuorve dicendi generibus*, którą też i obroniła uzyskując doktorat. Była bardzo chorowita, do czego się przyczynił jej udział w powstaniu i potem jakaś szczególnie uciążliwa obozowa tułaczka. Jako asystentka i doktorantka, zgodnie z ówczesnym zwyczajem, zajęć dydaktycznych nie prowadziła; miała na pieczy administrację Seminarium. Chyba było to jeszcze przed jej doktoratem, kiedy musiała iść na długo do szpitala i ja ją na ten czas w jej obowiązkach zastąpiłem. Umówiliśmy się, że będę za to otrzymywał połowę jej pensji, drugą jej oddając. Tak też i było przez wiele miesięcy i tak się nawiązała nasza przyjaźń, trwająca do końca jej życia, przyjaźń, która z jej strony zaowocowała w pewnym momencie drobną, ale bardzo ważną dla mnie przysługą. Zorganizowała mi zręcznie spotkanie z profesorem Kumanieckim po mojej głupiej awanturze i wieloletnim wypadnięciu ze środowiska filologicznego, o czym opowiadam szczegółowo w nieprzytoczonej tu części tych wspomnień.

Nie będę po kronikarsku kontynuować szczegółowo wątku moich studiów. Jak już wspomniałem, najsilniej utrwaliły się wspomnienia z samego ich początku, te zaś z następnych lat nie są już ani tak szczegółowe, ani tak uporządkowane. Raczej niż opowiadania spróbować wolę jakiejś ich refleksyjnej charakterystyki.

Zacznę od tego, że mam sporo szacunku nie tylko dla mojego zapału i pilności z tamtych lat, ale też dla zdrowego rozsądku, dla dojrzałej nad wiek roztropności. Pewnie to zresztą zasługa także rozmaitych trudności, które musiałem pokonywać i które chroniły przed lekkomyślnością, a uczyły ostrożności i pragmatyzmu. Tak czy owak, nie uległem nigdy owej tak bardzo u studentów, początkujących zwłaszcza, i dziś, i wtedy częstej chęci urozmaicania studiów i biegania na wykłady sławnych profesorów. Nie kusił mnie ani Kotarbiński, ani Ossowski, ani nawet, ze starożytników, Jerzy Manteuffel czy Kazimierz Michałowski, jeden od papirologii, drugi od archeologii, tak bliskich przecież studiom filologicznym. Poszedłszy raz – i to nie na pierwszym bynajmniej roku – na wykład profesora Władysława Tatarkiewicza stwierdziłem, że mówi on (a mówił wtedy chyba o Herbercie Spencerze) mniej więcej to, co napisał był w swoim znakomitym podręczniku, i że słuchanie go więcej daje przyjemności dzięki jego osobistemu urokowi niż jakiejś szczególnej wiedzy. Może to był brak wyobraźni, może nawet brak wrażliwości. Wybrałem

jednak powściągliwość, która pozwoliła mi skupić wysiłek na tym, co miało uczynić ze mnie fachowca. Mówię herezję, zaprzeczam samej idei uniwersytetu, a także studiów humanistycznych, ostatecznie jednak nie tylko tego swojego pragmatycznego wyrachowania nie żałuję, ale wręcz z niego rad jestem. Miałem zbyt dużo do zrobienia zgrzebnej roboty, aby mnie stać było na zaniedbania dla największych nawet atrakcji.

A i tej swojej na profesjonalność nastawionej powściągliwości narzuciłem rygorystyczną, wewnętrzną niejako dyscyplinę. Obowiązywało nas minimum dziesięć godzin zajęć, za które trzeba było zebrać podpisy, a większość tych dziesięciu godzin wypełniały rygorystycznie przez naszych nauczycieli traktowane zajęcia typu ćwiczeniowego, proseminaria zatem i semina. Bardzo możliwe, że na pierwszym roku miałem tych godzin wpisanych do indeksu i rzeczywiście odbytych więcej niż dziesięć (nie pamiętam w ogóle, iżbym wpisywał jakieś wykłady, których nie zamierzałem słuchać i tylko zdobyć potem od wykładowcy podpis), z biegiem czasu jednak na pewno ograniczyłem się do obowiązkowych dziesięciu. Wolałem, nad czym tylko potrafiłem, pracować samodzielnie, bo to dawało lepsze rezultaty. Były oczywiście wykłady, których słuchać – robiąc pilnie notatki! – było warto, a nawet było to konieczne. Należała tu wykładana przez profesora Krokiewicza gramatyka historyczna obu języków klasycznych. Nie tylko dlatego, że rzecz była trudna, a wykład znakomity, ale i dlatego także, że nie bardzo było się z czego uczyć. Polskie podręczniki – Otrębskiego i Safarewicza dla językoznawców i Safarewicza dla sławistów – nie całkiem przystawały do tego, czego wymagał i do czego wdrażał program dla filologii klasycznej. Nie nadawały się też jedyne mi wtedy językowo dostępne dwie gramatyki niemieckie: bardzo niewielkiej objętości gramatyka historyczna Kiekersa, bo z powodu swej skrótowości była praktycznie nieczytelna, i ogromna, do dziś wznawiana Kühnera, licząca dla obu języków chyba aż sześć grubych tomów, bo zbyt obszerna, wymagająca długich miesięcy lektury, z zamierzenia autorskiego wreszcie podręcznik chyba raczej dla wykładowcy niż dla studenta. Innych rzeczy lepiej mi się jednak było uczyć z książek. Nikt zresztą wykładów kursorycznych, na przykład z literatur klasycznych, wtedy dla nas w Warszawie nie prowadził i prowadzić nie zamierzał, wychodząc chyba z założenia, jak najbardziej słusznego, że treści pamięciowych student powinien umieć się nauczyć z podręczników, kompendiów i monografii. Wykłady były, jak się dziś mówi, autorskie, czyli monograficzne, wyspecjalizowane; taki był wykład Kumanieckiego o Cyceronie czy Krokiewicza o greckich filozofach. Taki również któregoś roku wykład Marii Maykowskiej o mówcach greckich, jakieś inne ujęcie jej przedwojennej *Wymowy greckiej*, wykład, z którego zresztą niewiele mi w pamięci zostało poza tym, że był ciekawy i bardzo atrakcyjny także od strony językowej.

Ucząc się *ex lectura*, można było się zadowolić koniecznym do egzaminu minimum, ale można też było do rzeczy podejść bardziej ambitnie i różnicować to podejście nawet w absolutnie jednorodnych dziedzinach. Takiemu zróżnicowaniu uległo na przykład moje podejście do literatury greckiej i podejście do literatury łacińskiej. Do tej drugiej były wtedy dwa opracowania tego samego autora, Kazimierza Morawskiego: późniejsze, z pierwszej połowy lat dwudziestych, jednotomowe,

zwane potocznie „małym Morawskim” i obejmujące także piśmiennictwo późniejszej starożytności rzymskiej, wraz z chrześcijańskim, i starsze, głównie z lat pierwszej wojny światowej, kilkutomowe, przez autora pomyślane raczej jako ciąg osobnych monografii niż jako zwarta całość, a zwane „dużym Morawskim”. Do literatury greckiej były też dwa polskojęzyczne opracowania: uroczyste syntetyczne opracowanie Tadeusza Zielińskiego, przełożone chyba czy przez autora zaadaptowane z wcześniejszych monograficznych opracowań rosyjskich z dodaniem też pięknej antologii tekstów w przekładzie Stefana Srebrnego, i dwa obszerne, przed wojną jeszcze wydane tomy Tadeusza Sinki oraz od późnych lat czterdziestych kolejno wychodzący, a zakrojony z wielkim rozmachem ich ciąg dalszy, rzecz, kiedy już ów tom ostatni został w roku 1954 ostatecznie zrealizowany, licząca w sumie dobrze ponad 3000 stron gęstego i dość drobnego druku. To, co w latach studiów zrobiłem z tym rodzimym zasobem, było nieco osobliwe i nie wiem, czy nie nazbyt racjonalizuję i upiększam swoje ówczesne postępowanie. Pamiętam w każdym razie moje dyzgusty towarzyszące lekturze „dużego Morawskiego”, głównie z powodu eleganckiej archaiczności stylu owego dzieła wielkiego filologa krakowskiego, który mi się wydał rażąco anachroniczny językowo i stylistycznie w porównaniu z prozą narracyjną starszych od niego powieści historycznych Sienkiewicza i Prusa, a nawet Orzeszkowej. Zachował mi się z tamtych czasów, zresztą bardzo byle jaki, bo od samego początku jakoś zdefektowany, egzemplarz przekładu obu monografii historycznych Sallustiusza, dokonany i wtedy właśnie wydany przez Kazimierza Kumanieckiego z niedużym, ale świetnym wstępem, i z moją notatką ołówkową na końcu tego wstępu po jego lekturze, niepochlebnie dla Morawskiego wyrażającą mój zachwyt nad pisarstwem mojego mistrza. Nie sądzę jednak, aby to tylko niezagustowanie w archaicznym stylu Morawskiego kazało mi poprzestać na standardowym jedynie przygotowaniu się do egzaminu z literatury łacińskiej (standardowym, a jednak szerszym, bo z „dużego Morawskiego”, podczas gdy wielu kolegów poprzestawało na „małym”). I w ogóle ten moment negatywny niczego jeszcze nie wyjaśnia. Ważne tu jest dopiero to, co w mojej przygodzie było pozytywnego. A to odnosi się do literatury greckiej i jej poświęconego wielkiego dzieła Tadeusza Sinki. Mam nadzieję, że nie konfabuluję odtwarzając z pamięci zauroczenie bogactwem treści, celnością i szczegółowością zarazem analiz, niezwykłą przenikliwością wypowiedzanych sądów, zauroczenie, jakiemu uległem i jakie kazało mi nie tylko przez długi czas bardzo skrupulatnie studiować to ogromne dzieło, ale jeszcze – dla kompletności i niejako dla równowagi – doczytywać to, czego nie było wtedy jeszcze u Sinki (bo dopiero kiedy już byłem po egzaminie, wyszedł tom przedostatni, a w dwa lata po moim magisterium ostatni), w *Griechische Literatur* Christa, a co ważniejsze i owocniejsze, czytać sobie równolegle w oryginale z niemieckiego szkolnego wyboru przynajmniej niektóre drobne utwory liryczne archaicznych i klasycznych poetów, a także epigramaty z *Antologii Palatyńskiej*. Dziwna mi się wydaje ta wzbudzona przez *Literaturę grecką* Sinki młodzieńcza przygoda, kiedy dziś konfrontuję z nią niezbity fakt, że jestem bardzo tylko miernym (żeby nie powiedzieć marnym) greclistą i że dalsze koleje wykonywania zawodu filologa uczyniły ze mnie zdecydowanie i nade wszystko latynistę. A z owych greclistycznych studiów pozostało niewiele ponad to, że mój

mistrz po egzaminie z literatury opowiadał wszystkim, nie bez satysfakcji przecie, jaki to wariat ze mnie, że się tak wyuczył literatury greckiej z najdrobniejszymi i zupełnie nieistotnymi szczegółami. No, zostało jeszcze w pamięci nieco fragmentów przepięknych wierszy greckich poetów lirycznych, choć nieprównanie więcej Homera, którego bądź co bądź sześć ksiąg – po trzy z *Iliady* i *Odysei* – trzeba było przeczytać po grecku jako obowiązkową lekturę. A i jakoś się zorientować w całości *Iliady*, bo zasadniczo można było na egzaminie magisterskim być zapytany z której bądź, dowolnie przez profesora wybranej z niej księgi.

Osobną i jakże odmienną od praktyki dzisiejszej rzeczą były egzaminy. Mieliśmy ich w ciągu czterech lat studiów tylko osiem, ale jakich! Wśród tych ośmiu jeden był tak zwany poboczny, czyli nie należący do kanonu filologii klasycznej, praktycznie z dowolnej dziedziny, drugi z filozofii, gdzie faktycznie trzeba było wybierać między logiką – metodologią – teorią poznania, z czego egzaminował profesor Kotarbiński, a historią filozofii, którą się zdawało u profesora Tatarkiewicza. Na pozostałych sześć, *stricte* filologicznych, składały się: wstęp do filologii klasycznej, obie literatury klasyczne z wybraną specjalizacją z jednej z nich, tak zwany „wpływ”, czyli oddziaływanie literatur klasycznych na europejskie ze szczególnym uwzględnieniem, rzecz jasna, polskiej, obie gramatyki historyczne języków klasycznych. Egzaminowali tylko profesorowie. Na końcu był jeszcze egzamin dyplomowy. Sprawdzał umiejętność czytania, przekładania *a vista* i objaśniania wybranego *ad hoc* przez egzaminatora fragmentu *Iliady* Homera i wybranej tak samo ody Horacego. Był to egzamin komisyjny, to znaczy uczestniczyli w nim obaj profesorowie. Jeżeli ten, który był promotorem pracy magisterskiej, miał ochotę, żeby egzamin wypadł szczególnie efektownie, sugerował czasem dyskretnie, żeby szczególnie pieczołowicie przygotować tę a tę księgę, nie było jednak wiadomo, który tekst z niej wybierze ani jakie będzie stawiać pytania gramatyczne i metryczne, a przy tym drugi egzaminator miał prawo pytać o zupełnie inny tekst. Terminy zdawania egzaminów poszczególnych były dowolne, tylko wstęp do filologii klasycznej (zarys historii starożytnej greckiej i rzymskiej i kultury klasycznej obejmujący wszystkie jej dziedziny, zwłaszcza jednak sztuki plastyczne) trzeba było zdać pod koniec pierwszego roku, aby dostać promocję na rok drugi i dalsze. Również kolejność egzaminów była dowolna. Bardziej rygorystycznie przestrzegano udziału w ćwiczeniach i zasadniczo do ważnego uczestniczenia w seminarium warunkiem było odbycie i zaliczenie proseminarium, a jedno i drugie było podwójne: greckie i łacińskie. No i były kolokwia z lektur w oryginale, przyjmowane przez wszystkich czworo wykładowców. Egzekwowano ich dobre rozumienie językowe z objaśnianiem form gramatycznych i konstrukcji składniowych oraz umiejętność poprawnego czytania prozy (akcenty w łacinie!) i skandowania wierszy, również tych trudnych w chóralnych partiach tragedii i komedii, a także objaśniania struktury metrycznej utworów poetyckich; mniej żądano umiejętności objaśniania aspektu literackiego utworów, a nawet najczęściej ten aspekt na kolokwiałach w ogóle ignorowano. Języki były nie tylko podczas kolokwiał najważniejszą, żeby nie rzecz jedyną, materią erudycyjną, którą i wykładano, i sprawdzano dokładnie, skrupulatnie. Lektur do samodzielnego przygotowania w oryginale było dużo. Z greckich na przykład trzeba było przeczytać po jednej

tragedii trzech wielkich autorów klasycznych, dwa dialogi Platona, co najmniej jedną mowę Demostenesa, jakieś *quantum* Herodota i Tukidydesa, pewną też liczbę drobnych utworów lirycznych, a to bodaj nie wszystko. Łacińskich było jeszcze więcej, a wśród autorów przewagę ilościową miały teksty Cycerona, Wergiliusza, Horacego. Nie potrafię już wyliczyć dalszych. Ale pozostawało też, rzecz jasna, dużo ważnych autorów lekturami nieobjętych. Zasadą wyboru było, aby mieścili się w nim najznakomitsi i ci, których się czytało z uczniami w szkole. Pamiętam, że poszczególne lektury były przypisane do poszczególnych lat studiów i że pewne znaczne *quantum* lektur, z których otrzymało się oceny bardzo dobre, zwalniało na ostatnim roku od zdawania lektur na ten ostatni rok przepisanych. Tak sam nigdy nie miałem kolokwium ani z Tacyta, ani z Tukidydesa, a bodaj i z Demostenesa, bo odbywszy te z lat wcześniejszych z wynikiem bardzo dobrym, nie musiałem już zdawać reszty. Zdając te kolokwia na pierwszych trzech latach dość rytmicznie, egzaminy, poza wstępem, którego się pozbyłem, jak było konieczne, na pierwszym roku, i historią filozofii, którą odrobiłem na drugim, zostawiłem sobie wszystkie na rok trzeci i czwarty. Samo przygotowanie obu literatur zajęło mi aż półtora roku, ale też jednego dnia załatwiłem u profesora Kumanieckiego aż trzy czy nawet cztery wielkie egzaminy historycznoliterackie. Kiedy i czy razem czy osobno zdawałem gramatykę historyczną łacińską i grecką, nie pamiętam; było to zapewne później, po literaturze, a nie wyobrażam sobie, iżby pedanteria, z jaką profesor Krokiewicz traktował egzekwowanie zarówno egzaminów, jak i innych powinności studenckich, dopuszczała taki skomasowany egzamin. Co innego u Kumanieckiego, który był liberalny i daleki od formalizowania. Na egzamin poboczny zamierzałem zrazu wybrać historię starożytną. Poszedłszy jednak po wykaz potrzebnych do tego lektur do profesora Jerzego Manteuffla otrzymałem taką ich listę, że się jej przestraszyłem, ile że było to już na czwartym, ostatnim roku moich studiów i czasu na te lektury by mi nie starczyło. Wybrałem ostatecznie wymagający o wiele mniej czytania egzamin z gramatyki opisowej (z elementami historycznej) języka polskiego. Zdarzyła mi się przy tym niemiła przygoda, o której zaraz opowiem. Na razie dodam tylko, że z wszystkim tym uwinąłem się przed końcem roku kalendarzowego 1951, w którym w czerwcu upłynął czwarty rok moich studiów, a to było standardowe, że po upływie tych czterech lat z końcem roku kalendarzowego należało mieć zaliczone egzaminy. Na komisyjny egzamin końcowy musiałem jednak z jakichś powodów czekać do zimowej sesji w roku następnym. Pracę magisterską miałem wszelako gotową i przez promotora przyjętą wcześniej, jeszcze przed ostatnim egzaminem szczegółowym, którym był ten z gramatyki polskiej.

Z tym egzaminem, który egzekwował profesor Witold Doroszewski, było trochę kłopotu i nawet trochę nieprzyjemności. O koniecznych do niego lekturach informowała studentów pani doktor Halina Kurkowska, wtedy młoda, urodziwa i pełna eleganckiego wdzięku dama, która kiedyś tam potem została profesorem, ale umarła dość młodo. Zgodnie z tym, co mi powiedziała, miałem się przygotować z gramatyki Stanisława Szobera, opisowej z dość obfitym pomocniczym materiałem historycznym, i z tak zwanych „pięcioraczków”, czyli podręcznika napisanego przez pięciu językoznawców, których już dziś z pamięci wymienić nie potrafię.

Nie bardzo też pamiętam, jak studiowałem ten drugi podręcznik, ale że Szobera przestudiowałem sumiennie i z wielkim zainteresowaniem oraz z równie wielką przyjemnością, to pamiętam doskonale; studiowałem go m.in. w parku w Jelitkowie, nadmorskiej części Gdańska-Oliwy, dokąd wyjechałem pod koniec sierpnia 1951 roku, a o wyjeździe tym i pobycie opowiem jeszcze potem osobno. Gdzieś więc w listopadzie lub może w grudniu szedłem ochoczo do profesora Doroszewskiego na swój ostatni egzamin. Nie przewidziałem, że dostanę pytanie, na które nie tylko nie potrafię odpowiedzieć, ale nawet nie będę umiał podejść do niego w sposób należyty. Nie chcę egzaminatorowi przypisywać umyślnej złośliwości, choć wielce jest prawdopodobne, że mając przed sobą studenta filologii klasycznej, celowo tak sformułowanym pytaniem, jak je sformułował, dla zabawy wpuścił go w maliny. Pytanie dla człowieka, który przywykł do gramatyk języków klasycznych, pozornie było bajecznie proste: jak rozpoznaje się w języku polskim rodzaj rzeczowników. Towarzyszyło mu, jeśli dobrze pamiętam, uszczegółowienie: jak się rozpoznaje rodzaj żeński. Nawyk myślowy wyniesiony z intensywnej nauki gramatyki języków klasycznych podpowiedział mi natychmiast trop fałszywy: odpowiedziałem, że po końcowej samogłosce tematu, którą jest *a*. Musiało paść następnie, widomie już elenktyczne pytanie o rzeczowniki typu *kość* czy *głęb*. Zbity z tropu i nie umiejąc sobie poradzić, od egzaminatora dowiedziałem się, że poprawna odpowiedź miała być: po rodzaju przymiotnika. To logiczne, ale ja, przyzwyczajony do swojego trybu (wierszyki mnemotechniczne Sinki w jego *Gramatyce łacińskiej!*), myślałem o rozpoznawaniu immanentnym, w obrębie samego rzeczownika, co było błędem, rzecz można, metodologicznym. Profesor zajrzał do mojego indeksu, skonstatował, że mam same oceny bardzo dobre, i rzekł mi, że nie chce mi tego indeksu szpeci oceną niedostateczną, więc mi radzi (upewniwszy się, że nie chodziłem nigdy na jego wykłady), żebym pożyczył od kogoś notatki z tych wykładów, nauczył się tego, co zawierają, i za dwa tygodnie zgłosił się powtórnie. Tak też uczyniłem, nie bez pewnych komplikacji zresztą, bo musiałem po te notatki pojechać aż chyba do Mińska Mazowieckiego czy którejś z bliższych miejscowości na tej linii kolejowej do jakiejś nobliwej koleżanki, od której dostałem dość chudy zeszyt, opanowałem chciwie jego treść, ale i tak profesora Doroszewskiego swoimi odpowiedziami nie olśniłem: dostałem ocenę dobrą, i tym razem z niezbyt przyjemną uwagą, że ją zawyża, żeby mi nie psuć indeksu. Nawiasem mówiąc, egzamin u tego znakomitego językoznawcy-polonisty odebrałem nie tylko wskutek mojego miernego powodzenia jako niezbyt przyjemny: zadając studentowi pytanie i słuchając odpowiedzi podpisywał indeksy lub patrzył w okno, jakby chciał zaznaczyć, że go nudzi i mierzi obcowanie z głupim niedoukiem. Moi profesorowie egzaminowali zupełnie inaczej, ale też, trzeba to wziąć pod uwagę, mieli studentów do egzaminowania nieporównanie mniej. Kumaniecki w ogóle był uroczym człowiekiem (choć i w złość czasem wpadał, ale ja tego w stosunku do siebie jako student nie zaznałem nigdy), Krokiewicz zachowywał się trochę sztywno i oficjalnie, ale miał tę zaletę, że jeśli się już zaczęło odpowiedź na jego pytanie jako tako klecić, to się ożywia i spontanicznie ją rozwijał – obficie, interesująco, instruktywnie, tak że niejednego jeszcze przy egzaminie można się było douczyć. Ale studia filologii klasycznej były, jak to już

próbowałem opowiedzieć, w ogóle niezwykle ciepłarniane i familiarne. A jeszcze jeśli się było w takich relacjach jak ja ze swoim ulubionym mistrzem! Oto, ni mniej ni więcej, tylko na wieść o moim pierwszym, nieudanym podejściu u Doroszewskiego Kumaniecki zdziwił się ogromnie i zmartwił, od razu też spontanicznie chciał interweniować, przekonany, że to jakieś nieporozumienie:

– Zaraz mu powiem: dlaczego mi prześladujesz dobrych filologów? Musiałem bardzo intensywnie prosić mistrza, żeby zaniechał takiej jakże dla mnie żenującej interwencji u zaprzyjaźnionego kolegi. [...]

Już raz lub dwa próbowałem opowiedzieć – i rzecz została wydrukowana – w jak dziwny sposób nabywałem umiejętności pisania po łacinie. Niby nic nadzwyczajnego, po to się studiowało filologię klasyczną, żeby się dobrze nauczyć łaciny, nie tylko więc rozumieć starożytne i po-starożytne teksty pisarzy łacińskich, ale także czynnie operować tym językiem, przynajmniej na piśmie. Moje pokolenie filologów klasycznych musiało swoje prace magisterskie, niewielkie na ogół i przeważnie dość banalne rozprawki, umieć napisać po łacinie. Czy była to dobra łacina, to inna sprawa: profesorowie takie prace na ogół mniej lub bardziej poprawiali, ale każdy musiał się lepszą czy gorszą umiejętnością sklecenia prostego łacińskiego dyskursu wykazać. Przygotowywano nas do tego jeszcze w szkole, każąc nam tłumaczyć łatwe i proste zdania, potem były odpowiednie wykłady i ćwiczenia na studiach. Za moich lat wykład stylistyki łacińskiej – tak to się właśnie całkowicie adekwatnie do treści nazywało – prowadził, jak już wspomniałem, profesor Krokiewicz. Wykład był świetny, wielce instruktywny, widać to zresztą w niewielkiej książeczce, którą przy pomocy swojej wiernej słuchaczki i późniejszej asystentki Marii Pąkcińskiej z czasem na podstawie tych wykładów opracował, ale... robił to jakby dla inaczey, lepiej niż my przygotowanych. To były bardzo dobre instrukcje dotyczące wysoko wyspecjalizowanych językowych subtelności. Przynajmniej ja tak te wykłady odbierałem, a zwłaszcza praktyczne po nich ćwiczenia, które polegały na tłumaczeniu na nowo na łacinę przełożonych najpierw starannie na polski bądź tekstów Cycerona, bądź fragmentów prac łacińskich jakichś późniejszych filologów. Trudno zaiste było studentowi odtworzyć z przekładu autentyczny tekst Cycerona, czego profesor zasadniczo wymagał. Daremny wysiłek mnie przynajmniej zniechęcał i odbierał sporo entuzjazmu, praktyczna zaś z tego korzyść była minimalna. A pisać po łacinie przecież chciałem. Dopomógł w zbliżeniu się do jakiej takiej umiejętności dziwny traf.

Mając od drugiego roku studiów dosyć już samodzielne, ale też zarazem jakoś nieprzytulne i niezbyt wygodne mieszkanie (była to służbówka przy kuchni państwa Golakowskich na Żoliborzu, o której opowiem jeszcze potem), wolałem przebywać cały dzień w uniwersyteckim lokalu II Seminarium, zwłaszcza od kiedy z dwu osobnych pomieszczeń poszerzyło się do czterech, a potem (ale to już chyba po skończeniu przeze mnie studiów) o jeszcze jedno lub nawet dwa dalsze. Pełniąc takie lub owakie funkcje pomocnicze, dostałem rychło do własnego użytku wygodny i duży stół w kącie jednego z tych pomieszczeń między oknami i mogłem tam swobodnie wykonywać te funkcje, jak też wszelkie swoje prace studenckie, choć czasem i w mieszkaniu swoim pracowałem, a latem lekturę podręczników czy łatwiejszych

tekstów klasycznych, do których nie trzeba się było obkładać słownikami i innymi pomocami, chętnie odrabiałem na powietrzu, na przykład w żoliborskim parku Kaskada. Któregoś dnia zimowego w roku akademickim 1949/50 siedziałem sobie przy swoim stole zupełnie sam w całym seminarium, gdy pojawił się wytworny pan ze staromodnym wąsikiem i oznajmił mi, że szuka kogoś, kto by mu przełożył niewielki tekst polski na łacinę. Był to profesor botaniki farmaceutycznej Henryk Bukowiecki, a tekstem był jego wstęp do odnalezionej przez niego szesnastowiecznej, napisanej, rzecz jasna, po łacinie, farmakopei polskiej: chciał ją (fototypicznie chyba) wydać i zaopatrzyć krótkim wstępem właśnie łacińskim, może nawet równoległym do polskiego. Rzekłem, że nikogo niestety z personelu nauczającego nie ma. Na to on – czy nie podjąłbym się tego zadania ja właśnie. Odpowiedziałem, że jestem dopiero studentem i niewiele umiem, ale uroczy, szarmancki profesor zachęcał mnie tak skutecznie, że wreszcie przystałem – na próbę. Tekst nie był trudny, ale robota nie szła mi dobrze i byłem świadomy jej braków, niezręczności licznych szczegółów i pewnej toporności całego dyskursu. Zresztą i bez tego bym jej z ręki nie wypuścił nie skonsultowawszy z kimś mądrzejszym. A postanowiłem, że tym mądrzejszym będzie profesor Kazimierz Kumaniecki, którego od dwu lat byłem nie tylko studentem, ale i stałym współpracownikiem. Przygotowałem rękopis swojego przekładu zapisując go na lewej połowie kolumny arkusza A 4, czyli – jak się wtedy mówiło – papieru kancelaryjnego, żeby po prawej profesor mógł wygodnie robić poprawki, i po zajęciach, które kończył około południa, zapytałem, czy mógłbym go prosić o kontrolę i poprawienie. Pamiętam żywe zainteresowanie mistrza moją robotą, tak żywe, że nie poszedł do domu na obiad (a nie było telefonu, żeby żonie swej o tym powiedział, ani w seminarium, ani u niego w domu), został na godzin parę, żeby siedząc ramię w ramię ze mną, poprawić mi ten tekst – autentyczny, do celów praktycznych skomponowany jako minirozprawka naukowa, a nie spreparowany sztucznie do ćwiczeń. Poprawiając myślał głośno i narzekał trochę na moje nieudolności, ale też mnie strapionego natychmiast pocieszał, tłumacząc mi, studentowi i smarkaczowi, że i renomowane łacynistki, które, jak gdyby rozmawiał z równym, po nazwisku wymienił, też robią błędy. To było cudownie skuteczne poprawianie, cudownie skuteczna konsultacja: dzięki niej udało mi się chwycić to coś nieuchwytnego, czego nie sposób ująć w reguły, bo reguły nie są skuteczne same z siebie, a co się zawierało w formułowanej celnie *ad hoc* frazeologii, w łącznikach międzyzdaniowych, nadających tekstowi potoczystość, w koniecznych parafrazach i peryfrazach wyrażen polskich – i we wszystkim, co może się ujawnić tylko w konkretnej, roboczej praktyce. To wtedy posiadałem zaczątki umiejętności pisania po łacinie, które potem sam już w użytkowym trudzie rozwijałem pisząc po kilkunastu miesiącach pracę magisterską, a potem też, bywało, pomagając paru kolegom pisać ich prace i wreszcie, w dorosłym już życiu profesjonalnym, tłumacząc rozmaite teksty cudze i pisząc obszerniejsze własne.

O parę miesięcy wcześniej, dokładnie 23 października 1949 roku, była w I Seminarium jubileuszowa uroczystość profesora Adama Krokiewicza w obecności tylko zaproszonych studentów – wszystkich uczestniczących aktualnie w zajęciach profesora, ale także byłych – i jego współpracownicy doktor Marii Maykowskiej. Perso-

nel II Seminarium nie był obecny, co mnie wtedy nie dziwiło, zgoła nie zwróciło mojej uwagi, ale co było, jak mi się z czasem stało jasne, skutkiem nie najlepszych stosunków między profesorami, a i między obiema uczonymi ich pomocnikami także. Uroczystość jubilat uświetnił znakomitym łacińskim przemówieniem, którego treści zapomniałem doszczętnie, a pamiętam tylko jego początek, brzmiał on zaś tak jakoś: *Nolite me reprehendere, quod ego, qui neque Romanus sum neque Latinus, Latina vos alloquor lingua*. Zapamiętałem go sobie (najpewniej niedosłownie) i, co więcej, po dwudziestu kilku latach wykorzystałem jako początek własnego improwizowanego przemówienia łacińskiego w burbońskimi liliami zdobnej sali florenckiego Palazzo Vecchio (della Signoria) do uczestników włosko-polskiego sympozjum poświęconego heterodoksji religijnej XVI i XVII wieku we wrześniu 1971 roku, a potem jeszcze w artykule, którym w roku 1977 uczciłem siedemdziesięciolecie profesora Stefana Swieżawskiego. Z tej uroczystości Krokiewiczowej, jedynej, jaką za jego życia pamiętam, pozostało mi dużo więcej niż to wspomnienie. To wtedy zwróciłem szczególną, estetyczno-emocjonalną uwagę na moją młodszą koleżankę, która po kilku latach miała zostać moją żoną. Ale pozostało też po tej uroczystości coś materialnego i trwałego, ozdobny i oprawny w ramki za szkłem dyplom, który potem przez lata całe wisiał w I Seminarium, a do tej pory widać go w nowym lokalu Instytutu Filologii Klasycznej UW nad kontuarem biblioteki, tyle że wypływały na nim podpisy uczestników, i to tak dalece, że ich na dobrą sprawę w ogóle nie widać. Nie pamiętam dobrze, czy to z tej okazji, czy z innej jakiejś powstał ku czci profesora Krokiewicza jeden jeszcze ozdobny dyplom. I on długo wisiał na ścianie w I Seminarium, potem widywałem go, zdaje mi się, gdzieś również w nowym lokalu IFK. W ostatnich latach jednak znikł tajemniczo i muszę się o niego upomnieć, bo wielka by była szkoda, gdy utkwiał na stałe w jakichś nieużywanych bibliotecznych zakamarkach. Była to, jak myślę, realizacja pomysłu pani doktor Maykowskiej, bardzo dyskretny i elegancki hołd dla jej szefa i późnego mistrza. Krokiewicz mianowicie był, jak wiadomo, znakomitym znawcą i mądrym entuzjastą filozofii starożytnej, z niej zaś bodaj najbardziej, a w każdym razie najwcześniej, upodobał sobie Epikura i epikureizm, grecki, oryginalny, a także ten zaszczepiony w środowisku i języku łacińskim przez wspaniałe dzieło Lukrecjusza. Z Epikura samego lubił cytować sentencję głoszącą, że w dociekaniu umysłowym więcej zyskuje pokonany, o tyle więcej, że się czegoś douczył: *ἐν φιλολόγῳ συζητήσει πλείον ἤνυσεν ὁ ἡττηθείς, καθ' ὃ προσέμαθεν*. Tę właśnie sentencję, wypisaną pięknymi stylizowanymi archaicznie literami na specjalnym papierze, otrzymał profesor Krokiewicz jako dar, nie pamiętam jednak, kiedy to było i z jakiej okazji.

Poprzednio zaś opisana uroczystość była to, powtarzam, jedyna jego uroczystość, jaka mi się upamiętniła z czasu moich studiów. Nie brał on poza tym udziału w żadnych studenckich imprezach rozrywkowych, a imieniny swoje obchodził w Wigilię Bożego Narodzenia, kiedy były ferie, więc życzeń nie przyjmował, nie było po prostu takiego zwyczaju. Tak samo pani Maria Maykowska: nic się nie wiedziało o jej imieninach i nigdy nie odbywały się żadne zebrania towarzyskie jej poświęcone. W ogóle I Seminarium jako miejsce i jako dwie najważniejsze tego miejsca osoby było poważne, zdyscyplinowane, oddane cichej pracy. Profesor

miał w tym samym korytarzu, w którym mieściło się I Seminarium, swój osobny, oddany mu do stałej dyspozycji przez władze uniwersyteckie pokoik z osobnym wejściem z korytarza, mało który student chyba był tam wpuszczany (mnie się to bodaj raz tylko, nie wiem już, przy jakiej nadzwyczajnej okazji, zdarzyło). Pani doktor Maykowska siadywała w zacisznym gabinecie, który z profesorem dzieliła, a większe w dwuizbowym lokalu pomieszczenie, do którego wchodziło się bezpośrednio z korytarza, było czytelnia, która w godzinach zajęć zamieniała się w salę seminaryjną i wykładową. Atmosfera II Seminarium, zwłaszcza od kiedy lokal zyskał więcej pomieszczeń, była zupełnie inna. Więcej tam było miejsca i do pracy cichej, i do zajęć dydaktycznych, a przeto i kąciki jakieś do życia towarzyskiego na co dzień. Co ważniejsze, to życie towarzyskie z nadzwyczajnych okazji przybierało formę wspólnych – studentów i dwojga nauczających – imprez takich i siakich. Jedną z takich imprez, stale organizowanych, były 4 marca imieniny profesora Kumanieckiego. Bywały też, 27 marca, rzadziej jednak, nie corocznie, imieniny pani doktor Lidii Winniczuk. Bywały wreszcie w karnawale potańcówki zakrapiane winami owocowymi, dość podłymi fuzłami krajowymi (innych wtedy nie było), po których następnego dnia bolała głowa, ale animuszu podczas imprez od nich przybywało równie skutecznie jak od trunków szlachetnych i wyszukanych. Oboje nasi nauczający z II Seminarium byli chyba zawsze na tych imprezach obecni, a oprócz nich czasem jeszcze profesor Kazimierz Michałowski z archeologii, jego asystentka ówczesna doktor Maria Bernhardt, trafiało się (ale to rzadko, wyjątkowo), że i inne osoby nauczające, a zaprzyjaźnieni studenci archeologii klasycznej z reguły też w tym wszystkim dość licznie (choć w ogóle było ich niewielu) uczestniczyli. Uczony personel profesorski, pamiętający inne czasy i lepsze trunki, spijał z nami, którzyśmy owych lepszych trunków z powodu wieku raczej nie zaznali, te fuzle nie wybrzydząc zgoła.

Na jedne z takich imienin naszego ulubionego profesora – na 4 marca 1950 roku – przygotowałem własnym przemysłem okolicznościową sałatkę z Horacego, a nadto zespołowo w kilkoro, ćwiczeni przez ciotkę koleżanki naszej Wisi Kuszłówny, pianistkę i nauczycielkę muzyki, w jej mieszkaniu przy fortepianie, melodie do słów z Horacego. Zapamiętałem, że były to melodie do drugiej epody, tej sielskiej, *Beatus ille, qui procul negotiis*, i do przekornego dialogu zakochanych (oda III 9), *Donec gratus eram tibi*; może jeszcze coś, ale przypomnieć sobie nie potrafię. Pamiętam za to – nie jestem tylko pewny, czy we wszystkich szczegółach dokładnie, bo nie uchował mi się żaden zapis i dopiero kilka lat temu rzecz sobie odtworzyłem – tę swoją horacjańską sałatkę, niewielką zresztą i zgoła niewymyślną. Tak ona mniej więcej brzmiała:

*Docte sermones utriusque linguae,
Quid velint flores, pueri, puellae,
Forte miraris, cyathique multi et
Dulcia vina.*

*Sed ne quaesieris, scire nefas, quod tibi donum ii,
illae quod dederint. Ut melius, quidquid erit, pati!*

*Donarem pateras grataque commodus,
 Rector magne, meis aera sodalibus,
 Donarem tripodas, praemia fortium
 Graiorum, neque tu pessima munerum
 Ferres, divite me scilicet artibus.
 Sed non haec mihi vis nec tibi talium
 Res est aut animus deliciarum egens.
 Gaudes carminibus; carmina possumus
 Donare et pretium dicere muneri.*

Tutaj następowały śpiewy chóralne. A owo *rector magne* było okolicznościowym kitem, wciśniętym trochę na siłę, usprawiedliwionym jednak przez to, że profesor Kumaniecki był wtedy prorektorem Uniwersytetu Warszawskiego. Bardzo go ta sałatka uradowała, jak też współświętującego własne imienniny profesora Kazimierza Michałowskiego, choć jego sałatka ta widomie nie uwzględniła. Usprawiedliwia twórcę sałatki to, że obecności drugiego dostojnego Kazimierza nie przewidział i przewidzieć nie mógł.

Tych imiennin było oczywiście więcej, ale żadne inne mi się nie upamiętniły tak, jak się ze zrozumiałego powodu upamiętniły te właśnie. Imiennin pani doktor Lidii Winniczuk też poszczególnych nie pamiętam, prawie pewny jestem zresztą, że nie były obchodzone co roku. Pamiętam za to, że któregoś roku w czerwcu byliśmy całą gromadą na podwieczorku u niej w mieszkaniu, które się mieściło w Domu Akademickim UW przy placu Narutowicza. Ten tandem dydaktyczny – Kazimierz Kumaniecki i Lidia Winniczuk – przyjmował, bywało, swoich studentów w mieszkaniach również, by tak rzec, w trybie roboczym, Kumaniecki nawet wcale często. Utarł się zwyczaj, że się chodziło do niego z papierami do podpisu, żeby nie musiał przychodzić do Seminarium; często zresztą chorował na jakieś kataralne infekcje, choć był jeszcze wtedy bardzo przecież młody, i w takiej sytuacji był też zwyczaj, że się do domu chodziło do niego zdawać egzaminy. Dotąd dokładnie pamiętam rozkład i szczegóły jego niewielkiego mieszkania (Sewerynow 6, mieszkania 10). Wchodziło się przez umieszczone w skośnej ścianie drzwi do małego przedpokoju, na prawo była kuchnia, w której się chyba jadało, na wprost *living room* ze stołem, przy którym jadało się, jeśli było więcej osób. Bo i częstowany tam byłem parę razy, chyba kolacją. Ten dość duży pokój był przechodni, na jego końcu była jeszcze korytarzyk do łazienki i małego pokoju, w którym profesor pracował i pewnie też sypiał. Kiedy się przychodziło z interesem, to tam właśnie się go załatwiała – a wcześniej rano zastawało się na małym stoliku przy biurku pusty kubek po kawie. Biurko nie było duże, stało tak, że profesor siedział za nim mając po lewej stronie okno balkonowe od ulicy. Charakterystycznym wystrojem pokoju był wiszący nad biurkiem obraz Włodzimierza Tetmajera (przedstawiał chyba jakąś wiejską dziewczynę), dedykowany „profesorowi Kazimierzowi Kumanieckiemu”. Któregoś razu nie wytrzymałem i zapytałem, jak to chronologicznie możliwe. Wtedy dowiedziałem się, że dedykacja była dla ojca, też profesora i też Kazimierza, tyle że również Władysława, podczas gdy profesor-syn był Kazimierz Feliks – profesora prawa międzynarodowego czy nauk politycznych, pełniącego też w II Rzeczypospolitej krótko funkcję ministra. Miało również swój wystrój to profesorskie biurko: leżały

na nim z prawej i lewej dwa piętrzące się stosy papierów i książek, sprawiające często wrażenie, że się lada chwila na środek biurka obsuną, a wolna środkowa przestrzeń, niewielka, służyła jako blat do pisania. Dość jednak tych wspomnień wizualnych. Druga para naszych nauczycieli nie miała tego zwyczaju. U profesora Krokiewicza w domu nie byłem nigdy, u pani doktor Maykowskiej raz, ale to już po studiach jako pracownik wydawnictwa Pax, dla którego akurat robiła przekład jakiegoś dialogu świętego Augustyna lub może poprawiała jakiś przekład cudzy. Wtedy odkryłem w niej zresztą bardzo spolegliwą, sympatyczną rozmówczynię, która opowiedziała mi szczerze o losach swojej z powodów polityczno-ideologicznych nieudanej habilitacji i ponarzekła nawet trochę na ciężkie warunki materialne życia uniwersyteckiego uczonego. Ale ja już byłem wtedy redaktorem w wydawnictwie; ze studentem, myślę, tak by nigdy nie rozmawiała – wynikało to z pryncypiów wychowawczych, które rozumiałem i szanowałem.

Zabawy, jak wspominałem, w II Seminarium odbywały się częściej, czasem się przeciągały do pory dość późnej. Trzeba było na to uważać, bo komunikacja miejska funkcjonowała marnie, a już późnym wieczorem zgoła fatalnie, a do tego jeszcze chodzenie nocą po mieście, a zwłaszcza po przedmieściach, nie było rzeczą bezpieczną. Z jednej takiej zabawy wyszliśmy z Władkiem Seńką zbyt późno, aby on mógł wrócić do swojego mieszkania na Wierzbnie, które wtedy było obrzeżem miasta i gdzie obok domów mieszkalnych znajdowały się uprawne pola. Zabrałem go na swoją żoliborską kwaterę, dokąd dojechać było łatwiej i dojść od przystanku bezpieczniej, gdzie jednak miałem łóżko połowe szerokości około 60 centymetrów i nie sposób było położyć się na nim inaczej niż na waleta, ale i w takim układzie tylko na boku odwracając się do siebie plecami w sposób niezwykle zgoła. Wypadło to tak, jakby każdy, leżąc na boku, usiadł jednocześnie drugiemu na pośladkach, co mnie przypomniało ten epizod z *Pana Tadeusza*, gdzie Domeyko z Doweyką mieli się pojedynkować na pistolety przez niedźwiedźną skórę, a Wojski ze zgrozą to określił słowami „toż to rura w rurę”. Nie ukryłem rubasznego dowcipu i śmialiśmy się z niego trochę historycznie długo w noc, nieźle podpici owocowym fuzlem. A rano wstaliśmy późno, kiedy już doktor Golakowski jadł w kuchni śniadanie, więc obecność nocna Władka się wydała. Dało to doktorowi asumpt do opowiadania potem gościom, jakie to tłumy nocowały w malusińskim pokoiku:

– Jak zaczęli wychodzić jeden po drugim, końca nie było.

Tańce, hulanki, swawole, jak to za młodu. Ale i one nietypowe. Mnie zresztą, który w II Seminarium przesiadywałem od rana do nocy, zdarzało się tam zostawać cichcem i na noc, a wtedy spałem na dywanie, skrajem dywanu jako tako się okrywając. Potem musiałem tylko wyjść po śniadanie przed przyjściem do rektoratu na dole woźnej Nowakowskiej, żeby nie podpatrzyła, że wychodzę po nocy spędzonej w seminarium, i udawać, że normalnie przyszedłem rano jak co dzień. Tu trzeba dodać, że było to możliwe, bo starsi studenci (poczynając od przyjęcia na profesorskie seminarium) mieli – zgodnie ze zwyczajem przedwojennym – własne klucze do drzwi wejściowych, a dziedziniec uniwersytecki nie był na noc zamykany i tylko chodził po nim dozorca. Powodem takiego noclegu przeważnie było trochę nieprzytomne zacytowanie się, i to wcale niekoniecznie w literaturze fachowej, bo można

II Seminarium (o której powiem tu jeszcze coś niecoś) przynosiła sobie wypożyczone z Biblioteki Uniwersyteckiej kryminały i brukowce, których studenci wypożyczać nie mieli prawa. Ale bywały też okazje do takich noclegów całkiem ekstraordynaryjne. Zdarzyło mi się poznać miłą dziewczynę imieniem Jadzia mieszkającą na linii otwockiej w Józefowie i jeździłem sobie do niej czasem w letnie niedziele, żeby relaksowo pobyc z nią razem w miłym sosnowym krajobrazie i dość niegodziwie zjeść przy tej okazji dobry obiad domowy, na który mnie zawsze zapraszała jej matka. Pieczeniarnstwo moje niechlubne, które w sobie niestety utrwaliłem i które po dziś dzień chętnie uprawiam. Zdarzyło się raz czy drugi, że wracając stamtąd dojechałem pociągiem do warszawskiego dworca zbyt późno, żeby złapać autobus miejski na Żoliborz, więc szedłem na nocleg do mojego uniwersyteckiego lokalu w bezpiecznym raczej śródmieściu. Kiedyś przy takiej okazji przeżyłem przygodę zgoła niecodzienną. Wsiadłem do późnego pociągu w Józefowie i nie wiedząc, że dojeżdża on tylko do Dworca Wschodniego, czekałem dość długo zupełnie samotny, aż ruszy ku Śródmieściu, a on ruszył, ale z powrotem, i dowiózł mnie do stacji postojowej w Olszynie Grochowskiej. Dyżurujący kolejarze przyjęli mnie tam ze zdziwieniem niemałym, ale życzliwie, i nawet do spania dali mi nosze sanitarne z siatki drucianej, bo nic innego nie mieli. Nocleg byłby całkiem miły, gdyby nie obawa o pieniądze, które w sporej sumie akurat skądś jako należność podjąłem i które nie wiem dlaczego miałem w kieszeni (była to pewnie noc z soboty na niedzielę). Nic się na szczęście ani pieniądząm, ani mnie samemu złego nie stało.

Oprócz personelu nauczającego i studentów do składu osobowego obu seminariów należały jeszcze woźne, po jednej w każdym. Do obowiązków ich należało onego czasu przede wszystkim palenie w piecach, bo w starym budynku uniwersyteckim centralnego ogrzewania wtedy jeszcze nie było; ponadto sprzątanie i wszelkie posługi kurierskie, ogromnie ważne przy braku telefonów. W Pierwszym była to pani Paulinka, nazwisko wyleciało mi z głowy, jej obecność zresztą była tam bardzo dyskretna, ledwie zauważalna. Co innego w Seminarium Drugim. Tutaj królowała w godzinach rannych aż do wczesnych popołudniowych pani Irena Zimna, dziecko proletariatu warszawskiego, osoba wielkiej zacności i niespodziewanej inteligencji, chciwa czytelniczka wspomnianych przedtem romansów i kryminałów, żona Benedykta Zimnego, też bodaj jakiegoś woźnego czy palacza, dobrotliwego i zacnego człowieka, z którym, choć nie stronił od kieliszka, tworzyła całkiem spokojne stadło, wzorowo wychowujące córeczkę, której, kiedy podrosła, do towarzystwa państwo Zimni adoptowali małą siostrzyczkę. Irena Zimna to była dobra dusza II Seminarium, istny jego anioł-stróż. Studentkom mówiła po imieniu, była ich powiernicą i opiekunką, opiekowała się też studentami, czasem przywołując ich łagodnie do porządku, miała również świetne relacje z Lidią Winniczuk, której pomagała *ex officio*, tak jak *ex bona voluntate* w inny sposób pomagała i mnie samemu, przez pewien czas kupując mi przy okazji własnych zakupów i przynosząc na miejsce jedzenie, za moje oczywiście pieniądze, których mi, pracującemu przez cały czas studiów zarobkowo i potrzeby mającemu małe, zawsze wystarczało. Bywało nawet, że jej, mającej z powodu mężowych fantazji doraźne kłopoty finansowe, pożyczałem drobne sumy, które mi skrupulatnie oddawała. Krotochwilnie przełożyłem

jej nazwisko na łacinę i żartowałem sobie z zaufanymi koleżankami, mówiąc na przykład:

– *Irenae Frigidae credidi hodie quinquaginta aureos.*

Tak też zresztą zapisywałem sobie te pożyczki w notatniku, nie żebym nie wierzył w uczciwość dłużniczki, lecz dla zabawy. Nie sposób mi dziś wyobrazić sobie II Seminarium bez Ireny Zimnej i chętnie wspominam najrozmaitsze zdarzenia, w których uczestniczyła ta zacna osoba, a których bądź sam byłem świadkiem, bądź znam je z zasłyszenia, jak to, w którym uczestniczył *ni plus ni moins* tylko Zbigniew Herbert, wtedy przychodzący tam na jakiś wykład profesora Kumanieckiego. Kiedyś mianowicie, jeszcze pani Irenie nieznany, wszedł do pierwszego pomieszczenia w palcie i zmierzał w nim na salę wykładową, a zatrzymany przez nią słowami: – Proszę pana, niech się pan rozbierze! – żartowniś przekorny odwrócił się, skłonił uprzejmie i z uśmiechem zapytał:

– Czy wystarczy do pasa?

Tak to zeszyły cztery lata pracowite i miłe, choć świat dokoła był drastycznie biedny, a życie prymitywne i trudne, i bywał przecie ten świat zarazem ponury, złowrogi. To, co się działo nie tyle *in publicis*, ile *in occulto*, aresztowania, procesy, wyroki śmierci, było jakoś wiadome, ale świadomość, moja świadomość, chętnie to spychała na plan dalszy, wręcz tłumiała. Moje studia odbywające się nieco na marginesie głównego nurtu także życia uniwersyteckiego, widziane przez władze polityczne i uczelniane władze partyjne jako egzotyczne dziwactwo, długo, jak już wspomniałem, były miejscem jakiegoś azylu. Pamiętam, że nawet kiedy „nowe” do nich raz czy drugi wtargnęło, dawało się, o dziwo, jakoś rozbroić i unieszkodliwić. Kiedyś władze uniwersyteckie nakazały, nie wiem, czy mojemu rocznikowi, czy tylko z jakichś powodów mnie osobiście, bo nikogo z moich kolegów w tej przygodzie nie pamiętam, przystąpić do egzaminu pisemnego z ekonomii. Nie miałem o niej pojęcia i mieć nie chciałem, bo mi przecież nie była do niczego potrzebna. Na egzaminie, który się odbywał w bocznej sali Auditorium Maximum i w którym brał udział ogromny tłum studentów różnych kierunków, dano każdemu opieczetowany arkusz papieru i podyktowano tematy czy może jeden tylko temat. Nie miałem żadnego pojęcia o sprawach, których sprawdzian dotyczył. Odsiedziałem przewidziany czas i oddałem pusty arkusz. Nie było, o dziwo, żadnych konsekwencji, nie było żadnego dalszego ciągu tej sprawy.

A przecież czas stalinowski naszym nauczycielom dawał się odczuć na różne sposoby, tylko myśmy nie o wszystkich wiedzieli. Pamiętam przygodę, jaką miał ze swoją książką o Sokratesie profesor Krokiewicz. Miała wyjść w Bibliotece Meandra, serii wydawniczej równoległej do miesięcznika „Meander” i przeznaczonej na większe, książkowe prace polskojęzyczne i mogące liczyć na szerszy nieco krąg czytelnicy, podczas gdy dla łacińskich lub w ogóle obcojęzycznych i bardziej specjalistycznych prac mających objętość książkową przeznaczona była inna seria, Auctarium Maeandream. Już wtedy niektórzy uczeni humaniści, nawet jeżeli marksizm był im całkowicie obcy, próbowali się jakoś adaptować do intensywnie im narzucanych marksistowskich metod i celów uprawianie swoich dyscyplin i swoich specjalności. Krokiewicz był niezłomny, nie interesowały go zgoła żadne politycznie inspirowane

natrętne sugestie. Miał swoją wizję filozofii antycznej i nie odstąpił od niej ani na krok. W roku 1950 widziałem odbitki szczotkowe jego niewielkiej książki o prostym tytule *Sokrates*, ale książka nie wyszła. Zatrzymała ją cenzura, co się wtedy nazywało, że Ministerstwo Oświaty (chyba taka jeszcze była wtedy nazwa) nie dało zezwolenia na jej opublikowanie. Wyszła dopiero po ośmiu latach w Paksie, ale ingerencji cenzury się nie ustrzegła, o czym opowiadałam w innej części wspomnień. Inną przygodę przeżyła doktor Maria Maykowska. Przygotowała rozprawę habilitacyjną o kompozycji *Praw Platona*. Nie jestem pewny, czy wymagano wtedy, aby podstawą przewodu habilitacyjnego była praca opublikowana i czy trudności były z jej opublikowaniem, czy tylko z jakimś urzędowym dopuszczeniem do habilitacyjnego przewodu. Jakkolwiek było, habilitacja się nie odbyła, a po latach usłyszałem od samej pani Maykowskiej, dlaczego. Oto domagano się od niej, aby wprowadziła do swej rozprawy o *Prawach Platona* jakieś tezy czy techniki metodologiczne marksistowskie. Nie kto inny, tylko nestor polskich filologów klasycznych, wielki, naprawdę wielki filolog, Tadeusz Sinko, radził jej (tak to opowiadała):

- Niech pani zacytuje tam dwa, trzy razy Engelsa, i będzie habilitacja.
- Odpowiedziałam – mówiła mi – że się nie będę na stare lata wygłupiać.

To była postawa niezłomna, rzadka, coraz radsza. Inni jej nie mieli. Niekoniecznie stosowali wybiegi chytre i nie całkiem szczerze, takie na przykład, jak toruński profesor Wiktor Kornatowski, który wykładał historię nauk politycznych, ale był wykształcony klasycznie i w czasie moich studiów pisał swój *Rozwój pojęć o państwie w starożytnej Grecji* przychodząc codziennie lub niewiele rzadziej na długie godziny do czytelni II Seminarium. Napisał on w nagłówku bibliografii do swojej książki, że idąc za coraz powszechniejszą modą umieścił na początku tej bibliografii klasyków marksizmu. Książka wyszła w roku chyba 1950. Dwa-trzy lata później notatkę taką z pewnością usunęłaby cenzura, autor zaś miałby nieprzyjemności. To zresztą był, jak wspomniałem, przebiegły unik. Inni z biegiem nasilających się nacisków coraz bardziej ulegali presji, nie zawsze czyniąc to mądrze i z godnością, bo zresztą mądrze i z godnością czynić to było trudno, coraz trudniej. I tak wściekłych ideologów marksistowskich wśród uczonych kolegów-humanistów, którzy się wtedy skwapliwie przemianowali na uprawiających „nauki społeczne” („jednostka zerem, jednostka niczym”, pisał przed laty poeta bolszewickiej rewolucji, więc po co przymiotnik „humanistyczny”, skoro bytem pierwotnym i źródłowym nie jest człowiek poszczególny, lecz społeczeństwo?), byle czym zadowolić nie było sposobu.

Postawa mojego mistrza odznaczała się chytrymi wybiegami, które rozeznawałem dopiero z czasem, niektóre dość późno, inne dopiero po jego śmierci. W czasie okupacji niemieckiej mocno zaangażowany w konspirację akowską, pracownik Biura Informacji i Propagandy, w którym współredagował niemieckojęzyczne dywersyjne tajne pismo dla Wehrmachtu „Klabautermann”, po wojnie, póki jeszcze władza ludowa tolerowała resztki politycznego pluralizmu, członek chadeckiego Stronnictwa Pracy, z jego ramienia był posłem do Krajowej Rady Narodowej (pierwotnego parlamentu), ale po pewnej woli tego stronnictwa, której nie mógł zaakceptować, złożył legitymację posła na znak protestu. Z tych i innych jeszcze powodów był wystawiony na prześladowania, przed którymi się wybronił o tyle, że nie został nigdy

aresztowany, ale – jak się dowiedziałem dopiero w dziesięć lat po jego śmierci – był przedmiotem jakichś śledczych czy innych zabiegów Urzędu Bezpieczeństwa, miał nawet przez długi czas *ad personam* przydzielonego oficera, który prowadził z nim częste rozmowy, i żył pod presją rychłego aresztowania. Nic o tym nie wiedziałem, choć byłem wtedy jego studentem, jak też o tym, że koledzy-profesorowie wybrali go na prorektora, żeby sprawowany urząd uniwersytecki jakoś go dodatkowo przed nagabywaniami chronił. Nic z tego nie było widać w jego zawodowych czynnościach – i długo żaden ślad nowej rzeczywistości nie ujawniał się także w jego publikacjach. Kiedy już współpraca nasza trwała czas jakiś, *en passant* powiedział mi i o swojej okupacyjnej dywersyjnej działalności publicystycznej, i o tym, że był posłem do KRN, a bodaj i o swojej rezygnacji z poselskiej funkcji i jej powodach. Niewiele z tego wtedy rozumiałem: byłem bardzo słabo uświadomiony politycznie, przynajmniej co się tyczy szczegółów oficjalnego życia publicznego, bo przecież ogólne rozeznanie ducha czasu i etosu władzy miałem pełne. Na dobrą sprawę pierwszym wyraźnym śladem owych wybiegów czy raczej taktycznej i zarazem pragmatycznej uległości profesora Kumanieckiego wobec nacisków władzy była przedmowa do pierwszego wydania *Kultury starożytnej Grecji i Rzymu*, które wyszło w roku 1955, kiedy moja współpraca z profesorem już ustała. Wśród wielu innych manifestacji uległości starożytników wobec nacisków marksistowskiej ideologii nie dziwiła mnie zbytnio obecność uczynionego tam ustępstwa na rzecz marksistowskiej treści, zdumiał mnie jednak odsyłacz nie do Marksa, Engelsa czy Lenina, ale do wielce szmatławego, nawet jak na brutalny język marksistowskiej propagandy wyjątkowo wrednego *Krótkiego kursu historii WKP(b)*. Wiele razy dumałem nad tą przedmową i choć nigdy nie miałem dość śmiałości, aby zagadnąć profesora i poprosić o wyjaśnienie, dlaczego jest właśnie taka, jaka jest, a zwłaszcza czy odsyłacz do stalinowskiego szmatławca jest jego, czy cudzego pomysłu, zdaje mi się, że z czasem coś niecoś z tego samodzielnie zrozumiałem. Oto przedmowa była właśnie, jak to określiłem wyżej, chytrym wybiegiem. Treściowo nie zawierała nic innego niż stwierdzenie, że ujęcie kultury klasycznej, jakie przedstawia, nie jest, wbrew tendencjom czasu, marksistowskie, bo też mającym długotrwałą tradycję naukom starożytnym takiego ujęcia dorobić się trudniej jest niż innym, i że takie ujęcie musi dopiero dojrzeć. Było to chytre i w gruncie rzeczy nawet mało deklaratywne minimum i nie wiem, jakie argumenty spowodowały, że książka z taką w istocie wykrętną przedmową wyszła. A co do owego przypisu, też sobie wytłumaczyłem, że był raczej pomysłu autora i że miał pokazać ludziom domyślnym raczej żaden niż choćby najbardziej nikły stopień poważnego traktowania promarksistowskiego ustępstwa. Przecież odesłanie nawet do zbanalizowanej wtedy sentencji o epoce, która potrzebowała olbrzymów i stworzyła olbrzymów, już by brzmiało bardziej serio. Czas dopisał do tej przygody zakończenie poważne i optymistyczne. Po roku 1956 przedmowa po prostu znikła z książki, która miała kilka wydań i do dziś jest używana jako podręcznik uniwersytecki. Ja zaś jakieś dziesięć lat temu próbowałem rozważyć argumenty za i przeciw takim ustępstwom mojego mistrza, pomieściłem swoje rozważania w jednym z trzech chyba wspomnień, które o nim opublikowałem, i nie będę już tych rozważań tutaj powtarzać.

Dość późną jesienią 1951 roku kończyłem swoją pracę magisterską pisząc łaciński wstęp do przygotowanej wcześniej edycji wcale długiego, przeszło 200 heksame-trów liczącego poematu Filipa Kallimacha Buonaccorsiego opowiadającego o jego ucieczce z Rzymu i przygodach na greckich wyspach Morza Śródziemnego oraz w Konstantynopolu, o ucieczce z Konstantynopola i przybyciu do Polski. Edycja była krytyczna, oparta na kilku rękopisach, skolacjonowanych jeszcze pod koniec XIX wieku przez Stanisława Windakiewicza, i opatrzona przeze mnie starannie similiami z poetów (sporadycznie i prozaików) rzymskich, czyli tymi dosłownie zwrotami, a także podobnymi pomysłami autorów starożytnych, które Kallimach powtórzył w swoim poemacie. Przygotowywałem ją pracowicie i chyba dość długo, jednak jako czynność trudną i męczącą, a nawet przyprawiającą mnie o chwilowe wątplenia co do moich możliwości, pamiętam to pisanie kilkanaście stron liczącego wstępu. Mimo wcześniejszej próby translatorskiej, która z pewnością odłoniła mi i pozwoliła intuicyjnie znajdować potrzebne frazeologiczne i składniowo-kompozy-cyjne elementy budujące potoczny dyskurs łaciński, nie było mi łatwo. Dopiero chyba napisanie tego wstępu praktycznie uczyniło ze mnie piszącego latynistę. Czytając ten wstęp przy mnie, profesor Kumaniecki znalazł w nim – oprócz pewnego lapsusu wynikłego z ignorancji – tylko nieliczne błędy nieuwagi: pamiętam na przykład, że zapomniałem o żeńskim rodzaju nazw krajów i napisałem *Aegyptus Cypro proximus* zamiast *proxima*. A ten grubszy błąd popełniłem źle odczytawszy w dziewiętnastowiecznym druku w wyrażeniu *Rex Serenissimus* skopiowany skrót tego przymiotnika jako *Seremus* i, co gorsza, potraktowałem go jako imię własne owego króla pisząc o nieistniejącym „królu Seremusie”. Praca jako całość zyska-ła ocenę najwyższą z możliwych: od razu została przez profesora przeznaczona do druku w „Eos”, gdzie się też w 1954 (w spóźnionym roczniku 1952) ukazała. Jeszcze drobne a cenne retusze zarówno językowe, jak merytoryczne (propozycja wyzyskania pewnej odrzuconej lekcji) wprowadził do niej znakomity profesor Jerzy Krókowski, współredaktor „Eos”, kierujący tam działem neolatynistycznym. Tak dostałem prawdziwe filologiczne ostrogi i pas – może nie rycerski jeszcze, ale na pewno tęgiego giermka.

Kończył się piękny czteroletni czas studiów w warunkach cieplarnianych, u mistrzów nielicznych, lecz bez reszty, każdy po swojemu, każdy inaczej, znakomitych. I wśród kolegów chyba bez wyjątku sympatycznych, w ogromnej większości, a po prawdzie to chyba bez wyjątku ludzi prawych, w niemałej liczbie uzdolnionych lub z innych powodów nietuzinkowych i ciekawych, zróżnicowanych zresztą i wiekowo, i pod względem statusu społecznego, i osobowości. Jak to zwykle się dzieje, jedni byli bliżsi, inni mniej bliscy, jednych pamiętam dobrze, nawet znakomicie, inni powoli zacierają się w pamięci. Nie zapamiętałem jednak żadnych scysji ani nawet najmniejszych niechęci – ani między mną i nimi, ani między nimi wzajemnie. I pod tym względem był to więc czas mego życia piękny i miły, choć na zewnątrz było i coraz ciekawiej, coraz dalej od wojny, i zarazem coraz bardziej ponuro, coraz bardziej szaleńczo.

ARGUMENTUM

Professor Iulius Domański, antiquitatis et humanismi clarissimus scrutator, narrat hic de suis studiis, quibus in Universitate Varsoviensi annis 1947–1951 operam dabat. In quibus studiis duces habebat viros doctissimos Casimirum Kumaniecki et Adamum Krokiewicz.